GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 MAJA 1935 R.

NR. 9 ROK V

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 9

1935 R.

1 — V

ZBIGNIEW ORSKI

ROBOTY PUBLICZNE

Zagadnienie interwencji konjunkturalnej w sferze radykalnej polityki kredytowej jest kwestją wartościowania strat, które w obu wypadkach społeczeństwo ponosi. Wysokość ich w jednym wypadku jest nieznośna, w drugim — w całej rozciągłości nie jest znana. Może być, że jest większa.

Zagadnienie robót publicznych w Polsce stwarza ważny ośrodek dyspozycyj inwestycyjnych, pozwalający na bardziej planowe, niż to doniedawna miało miejsce, organizowanie robót inwestycyjnych, które w chwili obecnej polegać musi na skoordynowaniu dwóch motywów — socjalnego i gospodarczego.

1. Kwestja robót publicznych na wielką skalę, jako panceum na bolączki kryzysowe staje się u nas ośrodkiem zainteresowania najszerszych mas. Słowo „inwestycje" jest nieomal tak popularne, jak ongiś „waluta" lub „bilans handlowy". Zagadnienie inwestycyj przestało być ośrodkiem zainteresowania dość wąskiej grupy ludzi, spokojnie i mniej lub więcej rzeczowo ją traktujących i kto wie, czy nie stanie się hasłem wiecowem, równie dogodnem dla demagogów politycznych, jak hasło pognębienia importu w imię „walki o dodatni bilans handlowy" było korzystne dla pewnych bardzo konkretnych „sfer gospodarczych".

Do zaostrzenia zainteresowań przyczynia się niewątpliwia subskrypcja pożyczki inwestycyjnej, stanowiącej, jak na rynek polski, dość znaczną operację finansową.

Zanim jednak w delikatnej sprawie inwestycyj przemówią tłumy, zdaje się, słusznem będzie jeśli zostanie ona różnostronnie oświetlona w spokojniejszych nieco i mniej efektownych rozważaniach, które niniejszemi uwagami chcielibyśmy na łamach „Gospodarki Narodowej" spowodować.

2. Na wstępie nasuwa się konieczność ustalenia punktów widzenia, pod któremi traktowana być może polityka inwestycyjna. Rzecz prosta, znaczenie owych punktów widzenia, ulega zmianie w zależności od położenia, w jakiem zagadnienie inwestycyj publicznych jest rozważane. W naszych warunkach nasuwają się cztery zasadnicze aspekty polityki inwestycyjnej: 1) socjalny (zatrudnienie bezrobotnych), 2) strukturalno - gospodarczy (zagospodarowanie kraju), 3) konjunkturalny (t. zw. nakręcanie konjunktury) i 4) finansowy (pokrycie kosztów).

Polityka zatrudnienia pozostaje w ścisłym związku z polityką zagospodarowania terenu. Związek ten jest jednak natury antagonistycznej. Zadaniem polityki ekonomicznej musi być uzgodnienie dwóch *sprzecznych* punktów widzenia.

Odwrotnie natomiast — sprawa t. zw. nakręcania konjunktury sprowadza się w ostatecznym wyniku do kwestji sposobu finansowania inwestycyj.

W okresie kryzysu normalna działalność inwestycyjna ciał publicznych, a więc działalność,

podejmowana z celem zaspokojenia potrzeb gospodarczych środowiska i finansowana ze źródeł budżetowych, kurczy się. Wysuwa się nowy motyw — zatrudnienia bezrobotnych. Uruchomiane są roboty publiczne, przy pomocy których prowadzona jest — znaczna zazwyczaj — część działalności inwestycyjnej ciał publicznych. W motywach polityki inwestycyjnej pojawia się — z konieczności — dwoistość.

Zagadnieniem, stanowiącem największe trudności staje się sprawa finansowania inwestycyj.

3. Finansowanie robót publicznych może mieć miejsce: 1) ze źródeł budżetowych, 2) z opłat celowych, 3) z pożyczek publicznych, 4) drogą inflacji.

Finansowanie robót z budżetów bieżących lub przeszłych (z rezerw) jest w chwili obecnej najzupełniej nieaktualne. Polska wkroczyła na drogę organizacji robót publicznych, których podstawą finansową są opłaty celowe, pobierane przez Fundusz Pracy. Jaki jest ich wpływ na przebieg konjunkturalny?

Obciążają one dochody pracowników fizycznych i umysłowych, warsztatów pracy, spożycie oraz Skarb Państwa (opłaty z tytułu Funduszu Inwestycyjnego). Ta ostatnia pozycja jest faktycznie finansowaniem robót z sum budżetowych. Natomiast pierwsze dwie pochodzą z dochodów, które w ogromnej większości przeznaczone są na wydatki bieżące, a więc na spożycie. Jedynie opłaty płynące od warsztatów pracy — o ile nie są przerzucane na pracowników — mogą w pewnej mierze pochodzić z dochodów zaoszczędzanych. W tej części nie jest obojętne czy dochody te byłyby przeznaczone na inwestycje, czy też na zwykłe zaoszczędzenie, przechowanie w postaci sum, za które żadne dobra nie byłyby nabyte. Otóż tylko ta cząstka, nie dająca się oczywiście ustalić, a w praktyce niewielka, jest czynnikiem interwencji konjunkturalnej. Pozatem uzasadnienie dotychczasowego systemu leży poza sferą oddziaływania na przebieg konjunktury. System obecny jest—biorąc zgrubsza — przewłaszczeniem pewnej części siły nabywczej, istniejącej na rynku od warstw ekonomicznie mocniejszych do słabszych (bezrobotnych).

Kwestja finansowania robót z pożyczek publicznych jest w tej chwili szczególnie aktualna. I tutaj wchodzi w grę kwestja, czy stworzenie nowej siły nabywczej drogą robót publicznych nie będzie, względnie w jakim stopniu będzie, skompensowane przez jej ograniczenie po stronie tych, którzy pokryją ich koszty drogą nabycia pożyczki.

O tem zaś, *skąd*, z jakiej części dochodu społecznego zostaną pokryte koszty nowych robót publicznych, rozstrzygać będzie w decydującej niemal mierze, *kto* je zapłaci. I tu tylko przewłaszczenie oszczędności, nie przeznaczonych w tej lub innej formie do wejścia na rynek, do nabycia towarów, a zatem uruchomienia wytwórczości, przyczyni się w ostatecznym rachunku do ożywienia konjunktury i do wzrostu zatrudnienia.

Istnieje pogląd, że pracownicy fizyczni i umysłowi gromadzą oszczędności na wypadek redukcji, że skierowanie na nich gros ciężaru pożyczki na roboty przeznaczonej pozwoli na „uproduktywnienie“ tych tworzących się bezużytecznie (z punktu widzenia publiczno - gospodarczego) oszczędności. Pogląd ten opiera się na przeświadczeniu — słusznem zresztą — że nacisk rynku na pracownika fizycznego lub umysłowego w Polsce jest istotnie potężny, skoro zmusza go do ograniczenia niezbyt chyba wielkiej konsumcji. Temniemniej sądzimy (pomijając stronę moralną tego rodzaju opinji), że jest on błędny. Zdaje się, że będziemy bliżsi rzeczywistości, sądząc że oszczędności powstają w znaczniejszym stopniu jedynie w grupie uprzywilejowanych dochodów pracowniczych (dochody asów). Tych jednak jest niewiele. Możemy to stwierdzić dla uspokojenia przedstawicieli poglądu o przyśpieszonych dziś zabiegach oszczędnościowych szerokich mas ludności pracowniczej.

Gromadzenie się oszczędności istotnie ma miejsce. Nie trzeba zamykać oczu na całą sferę „żyjących z zysku“. Twierdzenie, że przemysł lub handel pracuje dziś bez zysku jest trudne do umotywowania. Niewątpliwie kryzys obniża ogólny poziom rentowności przedsiębiorstw. Lecz cóż to jest „ogólny poziom“? Jest to tak lub inaczej skonstruowana przeciętna. W każdej chwili dowolnie wybranej położenie poszczególnych przedsiębiorstw jest bardzo niejednolite. W czasie kryzysu część przedsiębiorstw, pracujących ze stratą znika z rynku. Niektóre z nich są sztucznie podtrzymywane przejściowo przez ich właścicieli, lub też przejściowo, a nawet stale, ze środków publicznych. Nacisk konkurencji jest tak silny, że obok znacznej liczby przedsiębiorstw, nie przynoszących zysków ani strat pojawa się wielka liczba przynoszących zyski istotnie bardzo ograniczone. Krzywa rentowności z okresu pomyślności gospodarczej obniża się. Temniemniej jednak jest ona i dziś *krzywą*. Jedynie jej górna część rozciąga się na mniejszej przestrzeni. Różnica tkwi tylko w tem, że w okresie ożywienia następują znaczniejsze przesunięcia wśród tych, którzy korzystają z wielkich zysków Natomiast dziś jest to grupa o niemal całkowicie stałym składzie. Monopol faktyczny jest tu zupełny lub niemal zupełny. Ta nieliczna uprzywilejowana grupa wielkich, przeważnie skartelizowanych przedsiębiorstw, korzystająca w całej pełni z prohibicyjnych stawek celnych, zakazów przywozu i wielu innych dobrodziejstw, zarabia. Zarabia nieraz dobrze i — nie inwestuje. Sięgnięcie do owych tworzących się oszczędności grupy uprzywilejowanej jest wręcz konieczne, jeśli chce się uruchomić siłę nabywczą, która w przeciwnym razie ginie bezużytecznie, jako zachwalana „oszczędność“ bez żadnych w chwili obecnej skutków gospodarczych.

Na drogę finansowania robót z pożyczek publicznych w rozmiarach szczególnie wielkich weszły Włochy, które zmobilizowały zaufanie szerokich mas do państwa w sposób istotnie imponujący. W okresie, gdy prywatna działalność inwestycyjna połączona jest ze znacznem ryzykiem strat, kapitał prywatny stroniąc od niej, szuka możliwie bezpiecznej lokaty. Drogą odpowiedniego do istniejących warunków oprocentowania pożyczek, drogą dostatecznie silnego zabezpieczenia ich zwro-

tu w niezbyt odległym terminie i bez strat dla nabywcy wydaje się możliwem zmobilizowanie zaufania do państwa również i w Polsce. Szczupłość kapitalizacji u nas zakreśla tej metodzie niewątpliwie znacznie węższe granice zastosowania aniżeli we Włoszech, ale jej nie przekreśla.

Wreszcie zagadnienie inflacji. Polega ona na tworzeniu nowej siły nabywczej. Roboty publiczne są wówczas finansowane z kredytów, jakie bank emisyjny otwiera państwu, które zapewnia ich pokrycie z przyszłych dochodów. W tej dziedzinie miarodajny jest dla nas przykład Niemiec. Doświadczenia naszego zachodniego sąsiada zastosowane do naszych warunków otwierają perspektywy: 1) ożywienia konjunktury i istotnego zwiększenia zatrudnienia, 2) ograniczenia lub zaniechania płatności zobowiązań zagranicznych, 3) regulowania importu metodami, które musiałyby być tembardziej drakońskie, im większe są rozmiary inflacji kredytu.

„Nakręcanie konjunktury“, ożywienie jej sztucznemi środkami musi spowodować równie sztuczny wzrost przywozu dla zaspokojenia rosnących potrzeb rynku, podczas gdy zwiększenie w równej mierze wywozu jest niemożliwe, siła nabywcza odbiorców towaru eksportowanego znajduje się bowiem poza sferą oddziaływania czynników nakręcających konjunkturę. Ponadto ożywienie konjunkturalne w danym kraju powoduje wzrost cen, który jest czynnikiem hamującym import.

Eksperymenty nakręcania konjunktury nie dobiegły jeszcze do końca, nie wiemy więc, czy nie spowodują one załamania, zwłaszcza w krajach, w których kształtowanie się bilansu płatniczego jest zagadnieniem szczególnie drażliwem. Dotychczasowe doświadczenia wskazują, że eksperymenty te, jakkolwiek zupełnie możliwe, wymagają ofiar, bardzo dotkliwych dla gospodarstwa społecznego. Zagadnienie interwencji konjunkturalnej w szerokiej sferze radykalnej polityki kredytowej jest dla polityki gospodarczej szczególnie trudne. Rozstrzygnięcie go nie leży w każdym razie na linji demagogji inflacyjnej ani też... deflacyjnej. Jest ono kwestją rachunku, wartościowania strat, które *w obu wypadkach* społeczeństwo ponosi. Wysokość ich w jednym wypadku jest nieznośna, w drugim — w całej rozciągłości nie jest znana. Może być, że jest większa.

4. Czy zatem roboty publiczne w skromnych rozmiarach, nie te „wielkie roboty publiczne“, których hasło szeroko jest rzucane, ale poprostu roboty publiczne, nie przedstawiają żadnego znaczenia dla społeczeństwa? Taki pogląd byłby najzupełniej błędny. Roboty publiczne, prowadzone dziś w Polsce, miały niewątpliwie minimalne znaczenie dla ożywienia konjunktury. Zakres oddziaływania na fluktuacje życia gospodarczego poprzednio przez nas wskazany jest istotnie bardzo wąski. Ponadto miało ono niewątpliwie pewien wpływ psychologiczny: społeczeństwo (suma jednostek gospodarczych) nie lubi zastoju. W momentach trudnych *działanie* wpływa na nie dodatnio, nawet wówczas, gdy bezpośrednie skutki ekonomiczne są w istocie rzeczy nieznaczne. To są imponderabilja robót publicznych, o których nie można zapominać. Istotne jednak ich uzasadnienie leży w dziedzinie korygowania podziału dochodu społecznego, w sferze zatrudnienia bezrobotnych, stworzenia — minimalnej choćby — siły nabywczej po stronie tych, którym grozi śmierć głodowa. Wiąże się to z zagadnieniem rozmieszczenia robót publicznych, zatrudnienia bezrobotnych w największych ich skupiskach, t. j. tam gdzie, ani zarobek uboczny z własnego, choćby minimalnego, warsztatu pracy nie wpływa, gdzie rodzinę, a więc ową domniemaną rezerwę pomocy finansowej w najcięższych chwilach, stanowią również bezrobotni.

Niema jednak zatrudnienia bezrobotnych, bez stworzenia nowych wartości gospodarczych, niema polityki zatrudnienia bez polityki inwestycyjnej.

Dlatego dziś właśnie nasuwa się konieczność skoordynowania jednej i drugiej. Zagadnienie to jest szczególnie trudne, bo bezrobocie w literalnem znaczeniu szerzy się na terenach uprzemysłowionych. Jego najsilniejszem skupieniem w Polsce jest Śląsk, a dalej Łódź i Warszawa. Tereny te są jednak bardzo silnie zainwestowane. Prowadzenie wielkich robót inwestycyjnych na Śląsku w ciągu szeregu lat musi doprowadzić do przeinwestowania terenu. Zagospodarowanie kraju przez kapitał publiczny, rzecz prosta, nie musi być jednolite. Osiąga ono jednak najpełniej swój cel gospodarczy, jeśli jest równomierne w normalnych warunkach egzystencji kraju, natomiast wymaga większego nasilenia inwestycyj w zaniedbanych prowincjach wówczas, gdy te warunki żadną miarą za normalne uchodzić nie mogą. Tak właśnie jest w Polsce.

Przy olbrzymich potrzebach inwestycyjnych Polski zagadnienie robót publicznych, w tych choćby skromnych rozmiarach, w których nam ograniczone zasoby pozwalają je prowadzić, jest z gospodarczego punktu widzenia zagadnieniem kapitalnej wagi. Stwarza ono ważny ośrodek dyspozycyj inwestycyjnych, pozwalający koordynować różnorodnie wysiłki odrębne, często rozbieżne, pozbawione wspólnej myśli, mające jednak zmierzać do wspólnego celu — do przebudowy gospodarczej Rzeczypospolitej.

Fakt ten pozwala na bardziej planowe, niż to doniedawna miało miejsce organizowanie robót inwestycyjnych, które w chwili obecnej polegać musi na skoordynowaniu dwóch motywów działalności — socjalnego i gospodarczego. W miarę nieuchronnego przecie w przyszłości kurczenia się bezrobocia, ten drugi wzgląd przybierać będzie na sile, decydując o rozplanowaniu robót nie pod kątem widzenia rozmieszczenia bezrobocia, a zatem w ośrodkach przemysłu, lecz z celem zaspokojenia najpilniejszych potrzeb inwestycyjnych na terenach, leżących dziś odłogiem.

KAZIMIERZ STUDENTOWICZ

LIKWIDACJA PRZEROSTÓW GOSPODARCZYCH

Do szybkiej likwidacji istniejących przerostów gospodarczych potrzebna jest nie zasadnicza zmiana kierunku obecnego programu, lecz zerwanie szeregu więzów, które krępują nadmiernie swobodę jego wykonywania.

Pięć lat walki z przesileniem gospodarczem przekonało nie tylko nas, ale i wiele innych krajów, że stały spadek cen utrudnia niezmiernie likwidację przerostów.

Po pięciu latach znajdujemy się w znacznie gorszej sytuacji niż na początku, ponieważ istniejące dysproporcje nie zmalały lecz wzrosły*). Nadmierny fiskalizm, nożyce cen, bezrobocie, dekapitalizacja, nieprawidłowe funkcjonowanie systemu kredytowego, sztuczność przeważającej części naszego eksportu, interwencjonizm wraz z nieprzebytym gąszczem przepisów prawnych — nigdy jeszcze nie urosły do miary tak poważnych problemów jak obecnie.

Jeżeli się przewiduje, że ceny wyrażone w złocie wkrótce już przestaną spadać albo nawet pójdą wgórę, to właściwie niema problemu. Wzrost cen przywróciłby rentowność i umożliwił spokojną i stopniową likwidację wymienionych przerostów bez żadnych radykalnych rozwiązań. Byłoby to najlepsze wyjście z sytuacji, którego sobie wszyscy bez względu na dzielące ich różnice poglądów życzyć powinni. Rychłe zahamowanie spadku cen złotych względnie ich ponowny wzrost nie należą do rzeczy absolutnie wykluczonych. Szanse takiego rozwoju wypadków są niestety jednak na tyle nikłe, że opieranie się na nich byłoby budowaniem na piasku. (Wniosek ten wymaga specjalnego rozwinięcia i uzasadnienia. Chwilowo muszę go przyjąć, jako jedno z założeń). W takim razie jednak kontynuowanie polityki przetrwania nasuwa bardzo poważne wątpliwości. Nie można bowiem lekceważyć faktu, że politykę tę zarzucił już dzisiaj cały prawie świat, tak, że grozi nam olbrzymie zdystansowanie w ogólnym wyścigu pracy. To skolei oznacza osłabienie naszej siły obronnej, która w coraz wyższej mierze opierać się musi na rozbudowanym i prosperującym przemyśle. Polityka przetrwania zaostrza problemy socjalne, co nie ułatwia konsolidacji wewnętrznych stosunków politycznych. Wszystkie zatem względy: obrony narodowej, gospodarcze, polityczne i społeczne przemawiają za zmianą dotychczasowego biernego nastawienia naszej polityki gospodarczej.

Unikałem umyślnie wyrażenia, że winniśmy zaktywizować naszą politykę gospodarczą. Nasuwałoby to odrazu na myśl program wielkich robót publicznych finansowanych przy pomocy inflacyjnych kredytów. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby roboty publiczne nie mogły odegrać w tej chwili w Polsce żadnej roli. Wprost przeciwnie. Mogą one w pewnym stopniu dopomóc nam do wyjścia z obecnych trudności gospodarczych. Nie należy jednak kłaść na nie zbytniego nacisku i odwracać uwagi od właściwego zagadnienia likwidacji przerostów gospodarczych. Nieumiejętne bowiem finansowanie oraz niewłaściwe prowadzenie robót publicznych może zamiast usunięcia istniejących bolączek sprowadzić nowe, jeszcze groźniejsze powikłania.

Najwłaściwszym punktem wyjścia rozważań nad energiczną likwidacją przerostów jest ciężka sytuacja w rolnictwie, płynąca z trzech głównych źródeł: 1) fiskalizmu, 2) nożyc cen, 3) wzrostu realnego ciężaru długów.

Likwidacja fiskalizmu może się odbyć na jednej tylko drodze, a mianowicie, przez zmniejszenie ciężarów i wydatków publicznych. Nożyce cen da się usunąć nie przez administracyjny nacisk na kartele, lecz tylko przez zliberalizowanie handlu zagranicznego oraz obniżkę cen towarów i usług dostarczanych przez państwo. Zagadnienie oddłużenia jest najtrudniejsze do rozwiązania z punktu widzenia technicznego. Nie można jednak zrobić tutaj wiele więcej jak po przeprowadzeniu całej dotychczasowej serji ustaw odłużeniowych, dopuścić spowrotem do głosu automatyzm gospodarczy.

Jest to jednem słowem kierunek polityki, który właściwie odbiega niewiele od obecnego. Rozbieżność występuje dopiero, gdy chodzi o wykonywanie tego programu:

1) Mówi się, że na zasadniczą reorganizację całego systemu świadczeń publicznych, na radykalne obniżenie taryf kolejowych oraz cen monopolowych nie jest właściwa pora, ponieważ skarb nie posiada odpowiednich rezerw na pokrycie ewentualnego przejściowego deficytu.

2) Twierdzi się, że większe zliberalizowanie polityki handlowej jest niemożliwe, ponieważ mogłoby to zagrozić naszemu bilansowi handlowemu oraz podkopać nasz przemysł, zwłaszcza obronny.

3) Najmniej rozbieżności występuje w sprawie problemu zadłużenia; tutaj bowiem przyznaje się, że przywrócenie automatyzmu jest koniecznością.

Istnieją zatem trzy czynniki, które krępują nam swobodę ruchów:

1) Strukturalny, wynikający z małej konkurencyjności naszego przemysłu;

2) konjunkturalny, który zniknie z chwilą powrotu ożywienia, a mianowicie, brak odpowiednich rezerw skarbowych;

---

*) Patrz artykuł p. t. „Konsekwencje równania wdół" w poprzednim numerze „Gospodarki Narodowej".

3) psychiczny, t. j. lęk przed skutkami ujemnego bilansu handlowego i ewentualnego załamania się waluty.

Większość cen artykułów przemysłowych jest dla naszej ludności zarówno miejskiej, jak specjalnie wiejskiej absolutnie za wysoka. Artykuły te nie posiadają tem samem odpowiedniej bazy zbytu na rynku wewnętrznym. Przesądza to przyszłe możliwości rozwojowe przemysłu zarówno na rynku wewnętrznym, jak jeszcze bardziej na rynku zewnętrznym. Strukturalne niedopasowanie znacznej części naszego przemysłu do rolniczego charakteru kraju jest wynikiem następujących okoliczności:

1) Przemysł nasz jest zlepkiem trzech różnych systemów, które wzrosły na obsługiwaniu terenów, od których zostały odcięte;

2) Od zarania niepodległości utrudnialiśmy jego strukturalną przemianę sztuczną ochroną, która w rezultacie niedopasowanie przemysłu do rolnictwa jeszcze bardziej pogłębiła;

3) Surowce krajowe podrożyliśmy obciążając je nadmiernie ciężarami fiskalnemi oraz nieracjonalnem forsowaniem eksportu;

4) Pracę ludzką, którą posiadamy w olbrzymim nadmiarze, podrożyliśmy w przemyśle nadmierną rozbudową świadczeń socjalnych.

Te cztery czynniki stworzyły warunki sprzyjające powstaniu stałych nożyc cen rolnych i przemysłowych. Konkurencyjność naszego przemysłu jest tak mała, że większe zliberalizowanie naszej polityki handlowej grozi mu rzeczywiście poważnemi zaburzeniami. Im wcześniej jednak dopuścimy do tych zaburzeń, tem lepiej. Trzeba bowiem pamiętać, że problem uprzemysłowienia Polski, to jest równocześnie problem ludnościowy i że na tej drodze leży głównie rozwiązanie ciężkiej sytuacji rolnictwa. Nadmiernie wysokie koszty produkcji, zupełnie nieodpowiadające słabej sile kupna naszego rolnictwa, zabijają przyszłe możliwości rozwojowe przemysłu. Im prędzej koszty te zostaną zredukowane przez zmianę naszej polityki eksportowej radykalną reformą ciężarów publicznych oraz równoczesny nacisk konkurencji zagranicznej, tem szybciej ruszymy z miejsca z rozwiązaniem problemu uprzemysłowienia Polski, który jest — powtarzam — identyczny z problemem ludnościowym oraz rolniczym. Należałoby dalej podnieść, że ochrona celna przemysłu winna być ściśle dopasowana do naszych możliwości inwestycyjnych. Jaki jest bowiem sens chronienia przemysłów, na których należyte rozbudowanie jeszcze przez dziesiątki lat nie znajdą się odpowiednie kapitały? Jest to to samo, co ogrodzenie płotem nieużytków w nadziei, że bez uprawy wzrośnie na nich bujny plon. Nadmierna ochrona powoduje tylko rozproszkowanie naszych skromnych możliwości inwestycyjnych. Węższa, ale skrupulatnie przemyślana ochrona, zapobiegnie marnotrawstwu kapitałów, ponieważ skupi je w kilku podstawowych gałęziach, które szybko się będą mogły rozwinąć i zdobyć konkurencyjność. Specjalne zupełnie zagadnienie stanowi kilkanaście zakładów przemysłu wojennego w ścisłem tego słowa znaczeniu. Rozszerzanie ze względu na nie ochrony celnej jest chwytaniem się zupełnie niewłaściwych środków. Sytuacja przemysłu wojennego nie będzie wcale gorsza, jeżeli będzie on sprzedawał swe wytwory po cenach konkurencyjnych, deficyt zaś pokrywać się będzie z budżetu państwowego. Stworzy to niesłychanie pożądaną jasność sytuacji oraz będzie wywierało na ten przemysł stałą presję organizacyjną, która z biegiem czasu może go również uczynić samodzielnym.

Prócz nożyc cen przemysłowych gnębi rolnictwo fiskalizm oraz nadmiernie wysokie ceny monopolów państwowych. Tutaj chciałbym nawiązać do programu robót publicznych. Program taki, żeby był skuteczny t. zn. choć w części i tylko na krótki okres czasu rozwiązał zagadnienie bezrobocia, wymagałby naprawdę wielkich środków idących w grube setki miljonów. Efekt byłby chwilowy. Gorzej jednak, że przeszedłby on obok przerostów gospodarczych wogóle ich nie tykając. Po wykonaniu programu robót publicznych mielibyśmy wybudowaną pewną ilość szos, uregulowany pewien odcinek Wisły za cenę osłabienia naszego aparatu kredytowego, rynku kapitałowego oraz załamania się systemu walutowego. W naszych warunkach niema bardziej doniosłych „robót publicznych" jak zasadnicza reorganizacja systemu podatkowego oraz radykalne conajmniej kilkudziesięcio procentowe obniżenie cen monopolowych łącznie z taryfami kolejowemi. Przyniosłoby to olbrzymią ulgę całemu życiu gospodarczemu, powodując tem samem jego trwalsze i głębsze ożywienie niż przez jakiekolwiek roboty publiczne. Równocześnie jednak należałoby się liczyć z dość dużym nawet, ale zato przejściowym wzrostem deficytu budżetowego. Pokrycie tego deficytu wymagałoby spewnością zmobilizowania za pośrednictwem systemu kredytowego znacznie mniejszych środków finansowych niż w wypadku robót publicznych. Powtóre wpływy budżetowe musiałyby po pewnym czasie zacząć spowrotem rosnąć likwidując stopniowo powstały deficyt. Efekt nie byłby przejściowy, ale trwały w postaci szybkiej likwidacji nadmiernego fiskalizmu oraz nożyc cen monopolowych. Nie potrzebuję dodawać, że równolegle z poczynaniami na odcinku ciężarów państwowych musiałyby iść obiecane już zresztą i zapoczątkowane radykalne reformy na odcinku świadczeń społecznych oraz ciężarów samorządowych. To również musiałoby zmniejszyć znacznie wysiłek finansowy potrzebny na sanację finansów państwowych.

Omówienie dwóch pierwszych czynników krępujących nam zupełnie niepotrzebnie swobodę ruchów w zakresie likwidacji przerostów gospodarczych wskazuje, że nietylko czynniki te winny zostać przełamane, ale im wcześniej przełamane zostaną, tem lepiej dla całego przyszłego rozwoju gospodarczego, społecznego i politycznego. Pozostaje do omówienia ostatni krępujący czynnik, najłatwiejszy do przełamania z punktu widzenia technicznego i grożący najmniejszemi niebezpieczeństwami, ale zato najeżony trudnościami irracjonalnej natury. Jest nim lęk przed załamaniem się waluty, które grozi zarówno od strony bilansu handlowego na skutek zliberalizowania polityki handlowej, jak i od strony przejściowego wzrostu deficytu budżetowego. Przymusowe odstąpienie od waluty złotej

jednakże nie tylko nie grozi żadnemi dalszemi utrudnieniami w likwidacji przerostów, lecz przeciwnie sama waluta złota stwarza olbrzymie trudności na tej drodze, odstąpienie zaś od niej cały proces likwidacji przerostów znakomicieby uprościło i przyśpieszyło.

Pięcioletnie doświadczenie nauczyło nas, że likwidacja przerostów w okresie spadku cen jest niezmiernie utrudnioną. Najodpowiedniejsze warunki dla likwidacji przerostów stwarza dopiero stabilizacja cen. Związanie z walutą złotą uniemożliwia jednak jakąkolwiek akcję w kierunku stabilizacji cen i zmusza całe życie gospodarcze do równania wdół. W dobie spadających cen złotych stanowią stabilizacja cen i waluta złota dwa najzupełniej sprzeczne postulaty. Trzeba wybierać jedno, albo drugie. Jeżeli się wybierze walutę złotą, trzeba równocześnie położyć raz na zawsze krzyżyk nad wszelką energiczną akcją w kierunku likwidacji przerostów i pogodzić się z faktem, że dysproporcje gospodarcze będą stale potężniały. Jedynym ratunkiem w takim stanie rzeczy jest odwrócenie się tendencji cen złotych. Jest to jednak równoznaczne z kompletnem uzależnieniem się od czynników zewnętrznych, na które nie posiada się najmniejszego wpływu; polityka skrajnej bierności. Jeżeli się naodwrót chce stabilizować poziom cen, musi się wcześniej czy później doprowadzić do załamania parytetu. Wtedy jednak dopiero ma się ręce rozwiązane i odzyskuje nie tylko pełną swobodę w kierunku likwidacji przerostów, ale zyskuje szereg dalszych poważnych atutów:

1) Wstrzymanie spadku cen wymaga stałego zwiększania siły kupna w społeczeństwie; fakt ten rozwiązuje problem pokrycia deficytu budżetowego powstałego w związku z reorganizacją systemu świadczeń publicznych oraz cen monopolowych.

2) Dopiero gdyby deficyt budżetowy został w całości pokryty, a poziom cen mimo to spadał, jest czas i miejsce na zainicjowanie programu robót publicznych, w rozmiarach ściśle takich, któreby spadek cen powstrzymały.

3) Spadek kursu pieniądza ułatwia zliberalizowanie polityki handlowej oraz likwidację dumpingu eksportowego. Tem samem pomaga walnie do likwidacji nożyc cen rolnych i przemysłowych z dwu stron równocześnie: raz przez wywarcie presji na ceny artykułów skartelizowanych od strony konkurencji zagranicznej, po drugie zaś przez uwolnienie wewnętrznych cen od konieczności pokrywania strat na eksporcie.

W związku z powyższem odpada konieczność liczenia się z trzecim krępującym nam swobodę ruchów czynnikiem, jakim jest lęk o stałość waluty złotej. Waluta ta tylko uniemożliwia likwidację przerostów, stabilizacja poziomu cen natomiast znakomicie to zadanie ułatwi. Niema zatem żadnych istotnych powodów, dla których nie możnaby równocześnie likwidować narosłych dysproporcyj gospodarczych przez:

1) zliberalizowanie naszej polityki handlowej,

2) zasadniczą reorganizację systemu świadczeń publicznych i obniżkę cen monopolowych,

3) stabilizację poziomu cen,

4) roboty publiczne prowadzone w rozmiarach ściśle dopasowanych do punktu 3-go.

Musielibyśmy za to zapłacić dwoma wartościami, które są niemi tylko powierzchownie, w gruncie rzeczy bowiem ich wpływ na zarówno obecny jak i przyszły rozwój gospodarczy jest wysoce zgubny:

1) Musielibyśmy dopuścić do likwidacji wszystkich tych zakładów przemysłowych, które nie posiadają trwałych warunków rozwoju;

2) Dopuścić do załamania się parytetu z chwilą, gdyby jego utrzymanie stanęło w kolizji z likwidacją przerostów gospodarczych.

W rozważaniach powyższych położyłem umyślnie najsłabszy nacisk na prowadzenie robót publicznych. Środek ten uważam za zupełnie akcesoryjny. Potrzeba jego powstaje dopiero z tą chwilą, gdyby po sfinansowaniu przejściowego deficytu budżetowego ceny dalej spadały. Uczyniłem to z trzech względów:

1) Roboty publiczne nie są zdolne zlikwidować zagadnienia bezrobocia. Problem ten, jeżeli się go chce wogóle rozwiązać, musi się atakować od strony jego źródeł, a nie zewnętrznych objawów;

2) Roboty publiczne wywołują sztuczny i przejściowy popyt zarówno na materjały potrzebne do ich prowadzenia jak i pracę ludzką; nie tylko zatem nie są one zdolne do usunięcia przerostów gospodarczych, lecz nawet muszą je pogłębić i utrwalić; prowadzenie nadzwyczajnych robót publicznych w nieskończoność jest niemożliwością; kiedyś musi zabraknąć środków na ich finansowanie i wtedy chwilowo utajone a w rzeczywistości pogłębiające się przerosty muszą wybuchnąć ze zwielokrotnioną siłą;

3) W chwili załamania się parytetu musi się posiadać zupełną kontrolę nad całym aparatem kredytowym oraz ogólną sumą środków obiegowych, od tego bowiem zależy możność ustabilizowania poziomu cen oraz ustalenia się kursu pieniądza na odpowiadającym mu parytecie gospodarczym; dlatego też prowadzenie robót publicznych musi być całkowicie temu wyższemu celowi podporządkowane.

UWAGI

ZALEGŁOŚCI PODATKOWE

Akumulacja zaległości podatkowych do potężnej na nasze stosunki sumy 1,3 miljardów zł. postawiła politykę gospodarczą przed zadaniem, którego trudność nie ustępuje doniosłości. Zadanie to sprowadza się do pogodzenia pilnej potrzeby gospodarczej z zasadami moralności życia zbiorowego, niepozbawionemi zkolei znaczenia gospodarczego na dłuższą metę.

Zacznijmy od faktów niespornych. Za pierwszy z nich można chyba uznać trudność, jaką stwarzają gromadzące się zaległości podatkowe dla nadejścia poprawy konjunkturalnej. Zaległości stanowią część zadłużenia społecznego, część o tyle osobliwą, że dla wierzyciela stanowi ona nietylko zamrożoną, ale i nadzwyczaj wątpliwą pozycję aktywów, natomiast dla dłużnika stanowią (abstrahuję narazie od udzielanych ulg) jedną z najuciążliwszych i najgroźniejszych pozycyj aktywów, jako dług wiszący, wysoko oprocentowany i egzekwowany drogą administracyjną. Przedsiębiorca, który znajduje się pod presją zaległości nie może sobie pozwolić na podjęcie nakładów produkcyjnych, nadto nie może on otrzymać zdrowego kredytu, a conajwyżej posługuje się krótkoterminowemi i kosztownemi pożyczkami spekulacyjnemi, zawierającemi wysoką premję za ryzyko. Stąd m. in. pochodzą pomimo rosnącej płynności rynku, trwające trudności finansowe, nietylko w rolnictwie, ale także w przemyśle, rzemiośle i handlu, stąd również uzasadniony pesymizm co do łatwości podjęcia prywatnych inwestycyj.

Drugim faktem, dającym się stwierdzić objektywnie, jest nieład, wywoływany przez przerost zaległości w stosunkach kredytowych. Współodpowiedzialność wierzyciela z dłużnikiem jest rzeczą słuszną, gdy chodzi o lokaty lekkomyślne i spekulacyjne (w potocznem, wąskiem znaczeniu tego słowa), ale właśnie pod warunkiem, że wierzyciel ostrożny będzie zbierał tej ostrożności owoce. Dziś najostrożniejszy wierzyciel, który pożyczał na czystą hipotekę, może być aż nadto realnie zagrożony przez zaległości dłużnika, narosłe po zaciągnięciu długu i korzystające z pierwszeństwa i z większej łatwości egzekucji.

Nie sądzę także, by wiele osób broniło korzyści Skarbu, mających płynąć z gromadzenia się tego rodzaju aktywów. Zbyt wiele przemawia za tem, że wpływy bieżące Skarbu przy nieistnieniu tego aktywu byłyby większe, a możliwość uzyskania z tego źródła pewnych wpływów przy lepszej konjunkturze conajmniej się równoważy hamowaniem poprawy konjunkturalnej.

Gdyby więc można było uzależniać wpływy podatkowe tylko od rzeczywistego położenia gospodarczego, można byłoby utrzymywać, że proste skreślenie zaległości byłoby zgodne tak z gospodarczym interesem obciążonych jak Skarbu, a nadto ogółu wierzycieli i pośrednio — całego społeczeństwa. Takie założenie byłoby jednak oczywiście fałszywe. Między zdolnością płatniczą a dyspozycją płacenia niema całkowitej korelacji dodatniej. Wpływy podatkowe zależą nietylko od możności, ale także od dyspozycji płatników. Stąd konieczność stwierdzenia jeszcze jednej, nader ważnej oczywistości:

Wśród przyczyn, skłaniających do płacenia podatków niepodobna nie przyznać decydującej roli przymusowi. Świadomość, że niewpłacony w terminie podatek napewno zostanie przymusowo ściągnięty, narażając nadto na dodatkowe koszty i kłopoty, a nawet na ruinę lub utratę warsztatu najpewniej zabezpiecza interes zbiorowości. Możliwość umorzenia niezapłaconych podatków działa w kierunku przeciwnym: pozwala spodziewać się korzyści dzięki opieszałości w płaceniu. Rozpowszechnienie się przekonania, że spekulacja na niepłacenie może być korzystne, uniemożliwiłoby płacenie nawet sumiennym płatnikom, w miarę bowiem wzrostu liczby uchylających się, obciążenie reszty rosłoby ponad miarę. Premjowanie opieszałych kosztem dobrych płatników byłoby oczywiście sprzeczne tak z interesem Skarbu jak społeczeństwa.

Dotychczasowe próby rozwiązania zagadnienia zaległości bądź opierały się na błędnej djagnozie, bądź grzeszyły brakiem śmiałości. Nie zapobiegły nawet powiększaniu się zła, które miały leczyć. Gordyjskiego węzła nie przecina się nożyczkami do paznogci. Do tego trzeba miecza. Cięcie mieczem naoślep mogłoby jednak wraz z zaległościami przeciąć moralność podatkową. Stąd wyjątkowa trudność zagadnienia.

Prasa doniosła odstatnio *) o decyzji dokonania radykalnego cięcia. Pomijając szczegóły mniej istotne, postanowiono odroczyć bezprocentowo zaległości, powstałe przed 1.IV.1934 r. do 31.III.1938r., umarzając stopniowo znaczną ich część (łącznie 70%), pod warunkiem uiszczenia wymiaru 1934/35 roku i dalszego terminowego opłacania podatków bieżących. Płatnikom, którzy w ciągu ostatnich 2 lat budżetowych nie dopuścili do wzrostu zaległości, albo je zmniejszyli, ma nadto przysługiwać skreślenie 50 — 100% zaległości. Tej ostatniej części postanowień przypisuję znaczenie raczej w dziedzinie moralnej niż w gospodarczej, trudno bowiem przypuszczać, by duża liczba posiadających zaległości mogła z odpowiednich ulg skorzystać.

Ocena ogólnej doniosłości podjętej akcji byłaby przedwczesna, dopóki nie wiemy jakie sumy faktycznie ulegną odroczeniu i skreśleniu. Będzie to zależało od wpłat na bieżące podatki, a zatem także od przyszłego przebiegu konjunktury i od przyszłej polityki gospodarczej, m. in. od przystosowania bieżących obciążeń do dzisiejszej rentowności życia gospodarczego. Radykalny zabieg likwidacyjny byłby zmarnowany, gdyby po jego dokonaniu dopuścić do ponownego gromadzenia się zaległości. Założenie zaś, jakoby wzrost zaległości był wyłącznie wyrazem złej woli albo niedo-

———————

*) „Gazeta Polska" z dnia 17 kwietnia r. b.

stateczne egzekucji, byłoby chowaniem głowy w piasek.

Nie sądzę, by podjęty zabieg mógł poważnie narazić moralność podatkową. Raczej groźnem dla tej moralności mogło się stać dłuższe utrzymywanie fikcji, jakoby każdy grosz przypisany, wraz z oprocentowaniem i karami, musiał być zapłacony, skoro tej fikcji przeczyła rzeczywistość. Jest aż nadto oczywiste, że dzisiejsza operacja ma charakter wyjątkowy, nie oznacza wolności niepłacenia, ale przeciwnie, ma stworzyć warunki, w których płacenie będzie mogło być bardziej skutecznie przestrzegane. Szczęśliwem wydaje się także związanie ulg i odroczeń z warunkiem dalszego sumiennego płacenia, co nietylko ratuje doraźny interes Skarbu, ale także pozwala uniknąć zarzutu czynienia opieszałym podarunków bez odpłaty. Uzależnienie większych ulg od przeszłej gorliwości także jest słuszne w zasadzie, jakkolwiek przyjęte tu kryterjum nie jest przekonywujące: jest raczej rzeczą przypadku niż dobrej woli, czy ktoś dopuścił do tworzenia się zaległości przed 1.IV 1933 r. a właśnie w ostatnich dwóch latach potrafił je zredukować, czy też w pierwszych latach kryzysu płacił póki mógł, a po wyczerpaniu wszystkich możliwości dopuścił do powstania, czy wzrostu zaległości. Sugestja, jakoby zaległości z ostatnich lat były w wyższym stopniu dowodem „złej woli" niż z lat dawniejszych nie znajduje oparcia w faktach.

Skarb, który nominalnie popełnia wielką ofiarę, godząc się na daleko idące redukcje i odroczenia, raczej zyska na tej operacji niż straci. Zachęta do płacenia bieżących podatków, a także, dla tych, którzy będą mogli z tego skorzystać, do przedterminowego spłacenia zaległości, wydaje się dostateczna, a odzyskanie sum, ulegających skreśleniu, byłoby wysoce problematyczne.

Dalsze utrzymywanie dotychczasowego stanu rzeczy było w każdym razie niedopuszczalne. Wieloletni wzrost zaległości podatkowych nie może być zjawiskiem normalnem, zawsze dowodzi, że jakieś radykalne kroki, muszą być podjęte. Charakter tych kroków powinien zależeć od tego, czy powstanie zaległości przypisujemy w wyższej mierze, albo nawet wyłącznie, czynnikom subjektywnym, czy także objektywnym. W pierwszym wypadku właściwą drogą będzie wzmożenie nacisku egzekucyjnego, nie zatrzymując się przed sprzedażą nieruchomości, często gospodarczo mniej szkodliwą niż nękanie warsztatu drobnemi egzekucjami. W skrajnym wypadku przeciwnym t. zn. gdy powstanie zaległości byłoby oczywistym wynikiem działania przyczyn objektywnych, — ich skreślenie wypadłoby uznać za akt słuszności, nie narażający niczyich zasad moralnych. W aktualnej polskiej rzeczywistości wydaje się pewne, że warunki objektywne w postaci wieloletnich trudności gospodarczych i wzrostu wartości obciążeń znakomicie ułatwiają powstawanie zaległości, wszakże przy większej gorliwości i sumienności płatników niewątpliwie rozmiary zaległości byłyby mniejsze i tempo ich wzrostu łagodniejsze.

Mieszany charakter przyczyn dzisiejszych trudności upoważnia do twierdzenia, że decyzja odciążenia społeczeństwa od znacznej części zaległości jest słuszna i uzasadniona, natomiast towarzyszyć jej musi nie mniej radykalne dążenie do zlikwidowania reszty zaległości nieodroczonych i nieumorzonych drogą przymusu. Trzeba się do reszty wyrzec ratowania tego, co się wyratować nie da i przedłużania agonji tych warsztatów, które nie mogą być doprowadzone do zdrowia. Tam już trzeba nie drobnych gróźb i mnożenia kosztów egzekucyjnych, ale konsekwentnego przeprowadzania decyzji: bądź uzdrowienia warsztatu, bądź jego przejścia w inne ręce. Tylko splecenie likwidacji zaległości podatkowych z całokształtem koniecznych dla wybrnięcia z kryzysu procesów likwidacyjnych pozwoli twierdzić, że wyciągnęliśmy konsekwencje z przeprowadzonej w poprzednich latach deflacji i, że przygotowaliśmy pole do nadejścia zdrowej poprawy gospodarczej.

W odniesieniu specjalnie do rolnictwa warto dodać, że o ile likwidacja zaległości jest tu szczególnie pilna o tyle byłoby dużą szkodą, gdyby się w całości odbyła bez pożytku dla naprawy ustroju rolnego. Może byłoby jeszcze możliwe pomyśleć o zgromadzeniu w rękach instytucyj publicznych zapasu ziemi na cele agrarne bodaj w drodze rekompensaty za tą część zaległości, która w myśl ostatnich decyzyj nie ulega umorzeniu?

Powyższe rozważania o zaległościach w podatkach państwowych wydają mi się odnosić także i do wszelkich innych obciążeń publicznych które też mają podobno być objęte analogiczną akcją likwidacyjną. Warto zaznaczyć, że niektóre instytucje, w obawie przed odpowiedniemi zarządzeniami, podjęły w ostatnich tygodniach wzmożoną i zaostrzoną akcję egzekucyjną, co stanowi nietylko nielojalną konkurencję dla Skarbu, ale i pokrzyżowanie zasadniczych intencyj polityki gospodarczej.

j. p.

KONSEKWENCJE PEWNEGO ARTYKUŁU

W „Gazecie Polskiej" z 12 kwietnia b. r. ukazał się artykuł p. t. „Świat pracy". W zasadzie jest to artykuł — że tak powiemy — statystyczny, jednakże należy mieć w pamięci różnicę pomiędzy „Wiadomościami Statystycznemi", gdzie długie kolumny cyfr podane są na sucho, bez komentarzy, a dziennikiem politycznym, uchodzącym za organ pół - urzędowy. Coprawda autor artykułu zaznacza, że z przytoczonych przez siebie cyfr nie wyciąga żadnego wniosku, miał on bowiem na celu „przedstawienie faktycznego stanu, faktycznego układu stosunków w „świecie pracy", my jednak będziemy innego zdania, opierając je zarówno na tem, *co* autor napisał ,jak i na tem, *gdzie* swe poglądy wydrukował.

Przedewszystkiem — kilka drobnych uwag natury metodologicznej: wyliczenia, o których mowa, nie są ścisłe. „Gazeta Polska" zalicza pracowników, zatrudnionych na robotach publicznych, tak do grupy „publicznej" (60.000 osób), jak i do grupy „prywatnej" (31.700 osób), co zupełnie dezorjentuje czytelnika. Ponadto do pracowników (t. zn. *pracujących)* włączono emerytów z I-ej grupy (bagatelka: 330.000 osób), podczas gdy przez „świat pracy", zatrudniony w grupie II-ej, rozumie się jedynie jednostki *czynne*, bez emerytów, u-

trzymywanych kosztem ubezpieczalni, a więc (wniosek nie nasz, lecz „G. P.") — społeczeństwa Wreszcie do „świata pracy", naturalnie w I-ej grupie, zaliczono 200.000(?) wojska skoszarowanego.

W rezultacie statystyk „Gazety Polskiej" otrzymał następujące porównanie: rzesza pracowników i robotników „prywatnych", licząca 1.300.000 głów, i armja pracowników i robotników „publicznych", wynosząca 1.200.000 głów. „Jest to — przyzna każdy (o ile nie zauważy w/w błędów — przyp. nasz) — proporcja niezbyt zdrowa". O ten właśnie wniosek chodzi nam teraz, gdyż posiada on specjalnie silną wymowę i — konsekwencje.

Formalnie artykuł pozbawiony jest konkluzyj, ale nie jest on pozbawiony *tendencyj* i *nastroju*. Tendencję wyraża swoista metoda statystyczna, nastrój zaś oddają takie zdania, jak np.: „Interesy grupy pracowników publicznych i grupy pracowników prywatnych nie są i nie mogą być solidarne. Im mniej bowiem państwo, samorząd lub inne ciała publiczne ściągają podatków na płace dla swych pracowników, tem większe są szanse na podniesienie się płac dla pracowników prywatnych".

Co stąd wynika? — Ano bardzo prosto: redukcja budżetów publicznych — personalnych i „wogóle". Bo skoro grupa „uprzywilejowana" żyje kosztem grupy „zwyczajnych śmertelników", to trzeba albo zmniejszyć ilość tych pierwszych, albo obciąć wynagrodzenie każdego z nich. Że robotnik państwowej fabryki karabinów, państwowej rozlewni wódek, państwowych zakładów umundurowania lub samorządowej gazowni spełnia społecznie i ekonomicznie tę samą funkcję, co robotnik w analogicznych przedsiębiorstwach prywatnych — to jest zupełnie jasne z punktu widzenia nawet „świata pracy", o którego rzekomych przeciwieństwach wewnętrznych pisze „Gazeta Polska".

Ale mówiąc: redukować pobory w grupie publicznej, musimy nareszcie ustalić, czy istotnie są one nadmierne. Czy rzeczywiście zmieniło się coś na lepsze (dla pracowników) od czasu napisania w „Gospodarce Narodowej" głośnego artykułu „Dyktatura głodomorów"? Czy w momencie, gdy „świat pracy" z odcinka publicznego staje bez żadnych wyjątków do subskrypcji pożyczki inwestycyjnej, można i należy podsuwać wnioski o redukcję poborów tegoż „świata"?...

Jeżeli zatem powyższe wnioski są — ze względów, powiedzmy, taktycznych — chwilowo nieaktualne, to to stwierdzenie nie wyklucza wniosków, zmierzających do ograniczenia ilości pracowników, płatnych ze źródeł publicznych. Jest to zagadnienie i poważne i skomplikowane, czego nie zauważył autor omawianego artykułu, dyskredytując jedną grupę społeczną w oczach drugiej grupy — i to w sposób uproszczony i tani. Czyż jednak możemy twierdzić o przeroście administracji państwowej po tylu już przeprowadzonych redukcjach i po zwaleniu na barki każdego z pracowników (umysłowych) kilkakrotnie większego ciężaru „kawałków" i nie „kawałków", których niezałatwienie lub przewlekłe załatwienie zupełnie słusznie mogłoby jątrzyć społeczeństwo?... A może mamy zadużo sędziów i prokuratorów lub — na odcinku samorządowym za dużo tramwajarzy? A może należy co rychlej zredukować (najlepiej do zera) nasze siły zbrojne, które „Gazeta Polska" ku zdumieniu czytelnika zaliczyła do „świata pracy", żyjącego kosztem społeczeństwa i, co gorsza, przeszkadzającego rozwojowi społeczeństwa? Przecież zaliczenie 200.000 żołnierzy powiększyło potępiony przez ekonomistę z „Gazety Polskiej" odłam pracowniczy o 20%, a to niebylejaka różnica...

Co nam przeto pozostanie, gdy i wnioski o redukcji ilościowej zostaną uznane za nieaktualne? — Już tylko chyba wniosek o — zmniejszeniu zasięgu odcinka publicznego. Jeżeli tu nie chodzi poprostu o samorząd lub ubezpieczalnię *), to trudno przypuścić, aby „Gazeta Polska" propagowała hasło uszczuplenia roli Państwa nie jako właściciela tych czy innych objektów, lecz jako najwyższego czynnika administracji i kierownictwa. Domyślać się można, że chodzi tutaj o równie humorystyczne, co mało znaczące „liczenie wiewiórek". Ale przecież te wszystkie, przesadnie zwane, „przerosty" nie powodują dysproporcji pomiędzy liczebnością grupy „uprzywilejowanej" i grupy „normalnej". Chyba, że przez „wiewiórki" rozumie się coś więcej, np. opiekę społeczną, szpitalnictwo, nauczanie powszechne (gdy—nawiasem mówiąc—nauczyciel jest dzisiaj omnibusem społecznym, bo tego odeń wymaga Państwo), ustrój prawny itd. W takim jednak razie albo rewolucyjna demobilizacja Państwa, albo — równie rewolucyjna zmiana psychiki społeczeństwa, które karnie podporządkuje się normom moralnym i w XX stuleciu będzie odczuwało potrzeby społeczeństwa średniowiecznego.

Wróćmy jednak do punktu wyjścia. Statystyk „Gazety Polskiej" liczy źle, bo liczy tendencyjnie: gdy obie grupy sprowadzi do wspólnego mianownika, t. zn. gdy w grupie I-ej odejmie 200.000 wojska i 350.000 emerytów, to otrzyma z jednej strony „pasożytniczy" odłam, liczący 650.000 osób, a z drugiej — dwukrotnie większy odłam „prywatny" w ilości 1.300.000 osób. A wówczas trudno mówić o rażącej dysproporcji, skoro proporcja wyniesie 1 : 2 zamiast tendencyjnego stosunku 1 : 1. I trudno w mniejszej liczbowo grupie widzieć przyczynę biedy większej grupy. Chyba, że się uzna tę pierwszą za zbędną. Bo redukcja nawet o 10% (sprobujmy w praktyce wykonać to proste napozór odejmowanie) da rezultat niemal niewidoczny: omawiany stosunek zmieni się na 1 : 2,2. W ekonomji, coprawda, 2 $\times$ 2 nie jest 4, ale rezultat może być tak dobrze większy ,jak i mniejszy od 4.

Znając wpływ „Gazety Polskiej" na kierunek naszej oficjalnej polityki gospodarczej, jesteśmy omawianym artykułem równie zaskoczeni, co i zaniepokojeni. Deflacja, jak wszystko na świecie, ma swoje granice i niesposób zgodzić się z tendencją, która w imię świętości deflacji sięga aż po niekwestjonowane obowiązki ciał publicznych,

---

*) Jako przykład „redukcji" zasięgu ubezpieczalni niech służy fakt, że na mocy znowelizowanych przepisów wszystkie sprawy procesowe ubezpieczonych z zakładami przeszły od tych ostatnich do władz administracyjnych II instancji. Nie kijem go — to pałką...

z Państwem na czele. Poprawa konjunktury będzie naturalną i zdrową korekturą wyjaskrawionego przez „Gazetę“ stosunku dwuch rzekomo sobie wrogich obozów „świata pracy“. Ale tej poprawy nie uzyskamy, robiąc z jednego obozu kozła ofiarnego deflacji „per fas et nefas“.

k. br.

GOSPODARKA UŁATWIONA

W Nr. 8 „Gosp. Nar.“ z r. b. p. Ivanka zamieścił polemiczne uwagi, odnoszące się do moich tez o potrzebie utrzymania wysokiego przyrostu naturalnego w Polsce. Zanim przystąpię do odpowiedzi ad rem, muszę sprostować pewne twierdzenie mego oponenta, dotyczące mnie osobiście. Mianowicie p. I. napisał, iż dyskusja w sprawie celowości dużego przyrostu naturalnego zapoczątkowana 4 lata temu między p. St. Rychlińskim a mną urwała się, przyczem zaznaczył, że ja nie odpowiedziałem na kontrreplikę p. S. R. Faktyczny przebieg był taki, że p. S. R. napisał artykuł, ja wystąpiłem z polemiką, p. S. R. replikował i na tem *redakcja* urwała dyskusję. Ale wystarczy przejrzeć roczniki „Gosp. Nar.“, by stwierdzić, że przez całe cztery lata nie przestawałem pisać na ten temat. Ponieważ p. Ivanka wziął pod uwagę tylko moją krótką dyskusję z p. S. R., to nic dziwnego, że wyciągnął z niej wniosek, iż nie zostało wyjaśnione, czy mamy do czynienia z różnicą zasadniczych założeń, czy tylko z wadliwością rozumowania. Ktokolwiek jednak weźmie pod uwagę całokształt tego co było na dany temat pisane w „Gosp. Nar.“ przez 4 lata, to niewątpliwie dojdzie do wniosku, że między mną a moimi oponentami istnieje bezsprzeczna i zasadnicza różnica założeń. Nie wyklucza to oczywiście możliwości, iż rozumowanie było czy bywało wadliwe. Jeśli mi to kto udowodni, to zmienię rozumowanie. Ale nie zmienię założenia.

P. Ivanka również należy do tych, z którymi dzieli mnie różnica założenia. Najbardziej uwidacznia się ta różnica w następującym zdaniu p. I.: „im słabszy jest przyrost naturalny, tem trudności dla ekonomisty i technika mniejsze“. Ja nie ustalam ani osobistych ani zbiorowych celów na podstawie tego, czy są one łatwiejsze lub trudniejsze do osiągnięcia. Wybór dyktują mi irracjonalne dążenia do rozrostu i spotęgowania życia. Chętnie będę słuchał tych, którzy mi wskażą łatwiejszą drogę do celu, lecz nic mnie nie obchodzą argumenty zmierzające przez wykazywanie trudności do poniechania celu. Skutecznem mogło by być wykazanie mi niemożliwości, lecz w tym wypadku sprawa komplikuje się, gdyż logika wobec dążeń irracjonalnych ma bardzo małą siłę przekonywującą, a pozatem ocena możliwości lub niemożliwości oraz sama możliwość lub niemożliwość wynika w znacznym stopniu z przesłanek subjektywnych i psychologicznych, przedewszystkiem z siły odczuwanych dążeń, z napięcia „Wille zur Macht“.

Panu Ivance np. moje argumenty o dużych możliwościach produkcyjnych gospodarstwa polskiego nie wydają się przekonywujące. Poto żeby mieć w tej sprawie argumenty na 100% przekonywujące potrzeba by było przeprowadzić długoletnie badania przez ogromny sztab uczonych ekonomistów i techników. Z tych danych, które są obecnie można wyciągnąć wnioski optymistyczne lub pesymistyczne, zależnie od nastawienia wnioskującego. Ja wyciągam wnioski optymistyczne, p. Ivanka pesymistyczne i obaj nie mamy dostatecznych danych cyfrowych by siebie nawzajem przekonać o słuszności swego zdania. Pozostaje nam zatem prowadzić dyskusję, polegającą na wykazywaniu sobie nawzajem wadliwości rozumowania.

Mój szanowny oponent imputuje mi pogląd, że swobodny układ gospodarczy prowadzi do pauperyzacji ludności. Nie głoszę takiego poglądu bo swobodny układ gospodarczy nie istnieje. Moje zarzuty odnoszą się wyłącznie do obecnej fazy gospodarki związanej. Jak wpłynąłby na sytuację swobodny układ gospodarczy, nie wiem i nie chcę się nad tem zastanawiać, bo uważam takie założenie za nierealne, za daremną stratę czasu i energji, za spekulację umysłową w probówce z wypompowanem powietrzem rzeczywistości.

Zasadnicze nieporozumienie panuje między nami w sprawie hierarchji celów, a właściwie mówiąc samego pojmowania celu. P. Ivanka pisze, że ja stawiam wyżej przyrost naturalny od procesów gospodarczych. W istocie zaś rzeczy jedno i drugie jest dla mnie tylko środkiem, a cel jest pozagospodarczy i irracjonalny. Ja domagam się zharmonizowania procesów gospodarczych i demograficznych na możliwie najwyższym ilościowo poziomie a kryterjum do ustalenia wysokości poziomu szukam w warunkach przyrodniczych, niezależnych od ludzkiej woli. Uważam, że obecny przebieg tych procesów jest na poziomie niezadowalającym, niższym niż zapewniają warunki przyrodnicze, a przyczynę tego stanu rzeczy widzę w warunkach społecznych i psychologicznych. Chcę wykryć i zbadać przeszkody społeczne i psychologiczne poto, by je następnie łamać bez szacunku i skrupułów w imię rozrostu narodowej siły.

Zdawało mi się, iż pisząc o wadach obecnego podziału dochodu wskazywałem wyraźnie na politykę kartelową przewłaszczającą dochód społeczny sprzecznie z interesami zbiorowości, a jednak p. I. wysuwa w polemice na pierwszy ogień kwestję udziału w dochodzie Państwa. A ja przecież nie mam nic przeciw wysokości tego udziału, odwrotnie nawet, gdyż ta właśnie część dochodu może być celowo podzielona. Ja mogę krytykować tylko to, jak Państwo dzieli przypadający na niego dochód, a nie sam fakt dużego udziału bezpośredniego czy pośredniego wpływu Państwa na dystrybucję pozostałej części dochodu społecznego. Pisałem wyraźnie, że kardynalną wadą dzisiejszego podziału dochodu społecznego, jest to, że podział ów wpływa hamująco na ogólną wysokość dochodu, a nawet więcej, że środkiem zwiększenia dochodu przemysłu jest *ograniczenie produkcji*, to znaczy świadome zmniejszanie ogólnej wysokości dochodu. I dlatego wszystkie podstępne pytania dotyczące mojej opinji o udziale Państwa w dochodzie społecznym chybiają celu.

Pan Ivanka uważa, że powrót do stanu z 1928 roku był wyprostowaniem naruszenia równowagi i druzgocze mnie argumentem, że przecież i wtedy przeludnienie było bezsporne. Ale ja nigdy nie twierdziłem, że stan z 1928 roku jest dla mnie ideałem. Powoływałem się na sytuację w tym roku ja-

ko na dowód, że objektywne możliwości wytwórcze są znacznie większe od istniejącego dziś poziomu wytwórczości, ale podział dochodu i wtedy był wadliwy i ta wadliwość doprowadziła do obecnego stanu.

No i wreszcie sprawa ilości i jakości ludzi. Napisałem o tem już ongiś cały artykuł więc nie chcę powracać do tego tematu. Słusznie pan Ivanka uważa, że dla siły państwa niezbędny jest optymalny stosunek ilości i jakości ludzi oraz środków rzeczowych. Właśnie chodzi mi o ten optymalny stosunek i o to co do czego należy stosować. Dziś skartelizowany przemysł ogranicza ilość środków rzeczowych. Czy należy wobec tego ograniczać ilość ludzi? O kwestji powrotu do równowagi między tymi wdoma elementami pisał ju. p. J. Poniatowski. To jest sprawa kardynalna. Pan I. rozumuje tak jakby ilość musiała koniecznie obniżać jakość. Oczywiście, jeżeli nie będzie odpowiednio wzrastać ilość środków rzeczowych.

Ja proszę o odpowiedź prostą i jasną na pytanie, czy mój szanowny oponent uważa za objektywnie możliwy wzrost produkcji środków rzeczowych w Polsce w rozmiarach zapewniających dobrą egzystencję np. dwa razy większej ludności, niż ta która istnieje obecnie.

Z. Szempliński.

Odpowiedź p. dr. Stefana Buczkowskiego na polemiczny artykuł p. dr. Marka Breita zamieszczony w numerze 8 „Gospodarki Narodowej“ z dnia 15 kwietnia b. r. ukaże się na łamach 4-go numeru miesięcznika Bank.

STANISŁAW LAUTERBACH

STYL PARAGWAJU

Leży przed nami projekt ustawy, upoważniającej Ministra Przemysłu i Handlu do nadawania obowiązującej mocy prawnej normom Polskiego Komitetu Normalizacyjnego, które mają na celu „usprawnienie ważniejszych gałęzi życia przemysłowo - gospodarczego lub usprawnienie handlu“.

Projekt ten wprowadza zasadę przymusu normalizacyjnego, nie zawiera zaś żadnych postanowień, któreby ograniczały zakres i środki działania Komitetu Normalizacyjnego. I tu właśnie leży sedno krytyki. Wskutek braku ograniczeń Komitet ten zostaje awansowany do godności czynnika, mogącego ingerować w najdrobniejsze szczegóły i szczególiki całego życia gospodarczego kraju.

Gdy chodzi o zakres, ingerencja według projektu dopuszczalna jest absolutnie wszędzie, gdzie zdaniem tego oświeconego ciała brak jest należytej „sprawności“. Ponieważ trudno jest ustalić objektywne kryterja sprawności, a wszelki urząd — w naturalnym zresztą interesie ekspansji swych sił,— interpretuje niedoskonałości życia rozszerzająco, przeto nie dziw, że zasięg interwencyjny będzie tu wielki i stale wzrastający. Co więcej: urzędowe stwierdzenia niesprawności będą bardzo często zupełnie sprzeczne z przeciętnym sądem „szarego człowieka“, „człowieka z ulicy“. Nie człowiek ten i jego rzeczywiste potrzeby będą punktem wyjścia dla oceniania sprawności przemysłu i handlu, nie bojkot konsumentów będzie sankcją za niesprawność: miarodajne będzie widzimisię urzędnika, siedzącego za zielonem biurkiem, grzebiącego w stosach akt. Nic tu nie pomoże projektowana rada opinjodawcza, gdyż opinje jej nie są wiążące, gdyż jest ona faktycznie uzależniona od ministra, gdyż wszelkie rady, radcowie i doradcy są tylko dekoracją, a rządzi biurokracja, będąca rzeczywistym gospodarzem coraz większej ilości spraw. To też zasięg branżowy ingerencji Komitetu Normalizacyjnego będzie bardzo wielki i dla życia gospodarczego bardzo dokuczliwy: cały przemysł i cały handel znajdą się na łasce i niełasce pomysłów i eksperymentów Komitetu i jego naiwnego nowatorstwa, dyktowanego najlepszemi zresztą chęciami.

Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa środków działania Komitetu. Ustawa także w tym względzie żadnych ograniczeń nie przewiduje. Komitet może czynić wszystko, co uzna za celowe, aby „usprawnić“ życie gospodarcze.

W praktyce, jak słusznie twierdzi Dr. Stanisław Unger, Komitet Normalizacyjny będzie władny ustalać: 1) jakie produkty zakłady przemysłowe mogą wytwarzać, a więc z jakich surowców i półsurowców, jakiemi metodami i jakiemi maszynami, w jakich gatunkach, rodzajach, formach i ilościach: 2) warunki metod pracy oraz kwalifikacje osobiste robotników i urzędników; 3) wysokość zapasów surowców, półsurowców i gotowych produktów każdego gatunku, które powinny znajdować się w dyspozycji każdego zakładu przemysłowego, 4) wysokość inwestycji, obciążenia kredytowego, warunków zaciągania i spłaty zobowiązań, warunki sprzedaży i dostawy, a w szczególności kategorje handlu, które mogą zajmować się sprzedażą poszczególnych produktów i pod jakiemi warunkami, oraz warunki, pod któremi kupcy mogą zaopatrywać się w towar oraz sprzedawać go konsumentom.

Ten olbrzymi zasięg ustawy jest sprzeczny z duchem rozsądnie pojętej idei normalizacyjnej. Jak wiadomo sama natura życia gospodarczego ogranicza możliwości normalizacyjne do rozmiarów stosunkowo nieznacznych. Tylko *niektóre* wytwory przemysłowe można uczynić wzorcowo-prostemi, jednolicie - powszechnemi, tylko *niektóre* rodzaje i gatunki, jakości i wymiary są gospodarczo i technicznie możliwe do znormalizowania, tylko w *niektórych* wypadkach normalizacja jest wskazana. Cały jednak olbrzymi wachlarz wytwórczości ludzkiej do normalizacji się nie nadaje, musi pozostać poza szablonem, musi grać tysiącami indywidualnych barw i odmian, odpowiadać tysiącom

zróżniczkowanych potrzeb, a nawet smaków i gustów. Indywidualny tryb produkcji jest regułą, normalizacja — wyjątkiem.

Jakże więc można projektować ustawę, ożywioną duchem wprost przeciwnym i jeżeli nawet nie zmierzającą do mono - gatunku i mono - rozmiaru we wszystkich kategorjach artykułów przemysłowych, to w każdym razie znakomicie umożliwiającą rozszerzanie interwencji państwowej w tym niepożądanym kierunku.

Jak dalece błędny jest projekt ustawy normalizacyjnej ze względu na ogólne swe nastawienie, ze względu na niebywały swój rozmach, może świadczyć fakt, że istnieją przemysły, gdzie normalizacja nietylko nie jest wskazana, ale wręcz nawet szkodliwa. Takim przemysłem jest np. przemysł włókienniczy. Materjał surowy, którym ten przemysł operuje jest pochodzenia zagranicznego, wytwarzany prawie we wszystkich częściach globu ziemskiego. Różnorodność ta wyłącza możliwość zastosowania normalizacji. Z drugiej strony przemysł ten stale dąży do wytwarzania nowych kombinacji i zestawień, przystosowanych do wciąż zmieniającej się mody, przemysł ten nieustannie poszukuje nowych surowców naturalnych i sztucznych i na tych właśnie dążeniach opiera się jego rozwój i przyszłość. Normalizacja, jak twierdzi prezes Związku Przemysłu Włókienniczego p. Aleksander Heiman - Jarecki, byłaby podkopaniem rozwoju włókiennictwa. Poza włókiennictwem dużo jeszcze istnieje przemysłów, organicznie nienadających się do normalizacji, która jednak nie ominęłaby ich, gdyby decyzja jej zastosowania leżała w rękach biurokracji. Biurokracja lubi bowiem szablon i schemat, wzór i wzorzec, jednolitą normę, jednakowy wygląd, równy rozmiar, biurokracja ma psychikę mundurową i usiłuje szczepić metody mundurowe wszędzie, gdzie się da.

Projektowana ustawa normalizacyjna podkreśla, że celem jej jest usprawnienie życia gospodarczego. Brzmi to bardzo ładnie w teorji, ale żałosne będzie w praktyce. Wiemy wszyscy, że usprawnienie działalności gospodarczej osiągalne jest tylko na podstawie wielkiego doświadczenia, zdobywanego przy warsztacie pracy, że jest owocem pracy lat i dziesiątków lat, nieraz rezultatem trudu całego życia ludzi, którzy dany warsztat prowadzą i obsługują. Żaden urzędniczy aparat nie jest w stanie pomyślnie przeprowadzić takiego zadania. A pozatem: wszelkie reformy techniczno - gospodarcze muszą być robione przez te osoby, które ponoszą odpowiedzialność finansową za warsztat pracy. Gdy tej odpowiedzialności niema, rozwija się nazbyt kosztowne eksperymentatorstwo, które per netto często bywa wręcz szkodliwe dla rozwoju „reformowanych" zakładów pracy. Także i tego elementu odpowiedzialności brak, gdy Państwo ustala wiążące, drobiazgowe przepisy, dotyczące prowadzenia przedsiębiorstw, a troskę o ich rentowność i całokształt skutków narzuconej im gospodarki pozostawia poza obrębem swych zainteresowań finansowych. Ta sama nietrasobliwość finansowa ujawnia się przy zarządzeniach, uniemożliwiających kupcom wyprzedaż zapasów towarów nieznormalizowanych.

Projektowana ustawa normalizacyjna — to likwidacja wynalazczości i przedsiębiorczości w dziedzinach znormalizowanych.

Gdy dana norma Komitetu Normalizacyjnego zostanie podniesiona do rangi obowiązującego przepisu prawnego, co staje się w trybie zwykłego rozporządzenia Ministra Przemysłu i Handlu, wszyscy producenci muszą produkować w przepisany sposób, produkty muszą mieć przepisany rodzaj, przepisaną jakość i formę. Co więcej: *wszelkie* roboty, rysunki i inne czynności, z danym przemysłem się wiążące, poddane zostają przepisom pochodnym i akcesoryjnym w stosunku do głównej normy. A więc — jak twierdzi w swej analizie prawniczej Dr. St. Unger — również nie będzie wolno przedsiębrać żadnych robót przygotowawczych czy próbnych, które nie byłyby ściśle dostosowane do potrzeb produkcji znormalizowanego wytworu. Zakazane są wszelkie czynności, choćby tylko pośrednio związane z danym przemysłem, o ileby dotyczyły produkcji znormalizowanego wytworu i w ostatecznych swych konsekwencjach prowadziły do odchyleń od normy. Laboratorja fabryczne, poszukujące nowych, lepszych, tańszych metod produkcji zostają w swej roli zdegradowane, a ich działalność zahamowana. Producentowi w żadnym wypadku nie wolno odstąpić od przepisanych norm, choćby nawet odbiorca potrzebował do swych celów materjałów lub przedmiotów innego rodzaju, nieodpowiadających ustalonym normom.

Projekt postanawia więc w dziedzinach „znormalizowanych" położyć kres wynalazczości, przedsiębiorczości i ustabilizować, a więc zamrozić życie gospodarczo - przemysłowe i handlowe.

Nie można przypuścić ani na chwilę, aby sankcje karne, przewidywane w projekcie ustawy, same przez się okazały się wystarczające dla nagięcia życia do czynności gospodarczych, stojących z niem w jawnej kolizji. To też wraz z cytowanym autorem „chyba oczekiwać należy, że wzorem technicznej straży skarbowej, która stale urzęduje w gorzelniach i rafinerjach spirytusu, również w zakładach wytwórczych, podlegających normalizacji, stworzona zostanie stała kontrola, czuwająca nad przestrzeganiem norm. Należy też oczekiwać wprowadzenia stałej kontroli w przedsiębiorstwach handlowych, gdyż zachodzi obawa, że kupcy, kierując się potrzebami konsumentów, w drodze przemytu będą sprzedawali towary, nieodpowiadające obowiązującym normom. Wreszcie zapewne okaże się też potrzeba zaostrzenia kontroli skarbowej, gdyż zachodzi prawdopodobieństwo, że tranzakcje produktami nieodpowiadającemi wymogom normalizacji nie będą ujawniane w księgach handlowych". A przedewszystkiem i nadewszystko trzeba będzie zbudować wielkie biura dla samego Komitetu Normalizacyjnego, aby mógł on obsłużyć olbrzymi swój zakres działania: ni mniej ni więcej — usprawnić życie gospodarcze.

Tak więc naturalną konsekwencją projektu będzie konieczność powiększenia urzędowego aparatu administracji przemysłowo - handlowej, wzmożenie nacisku administracyjnego na życie

gospodarcze, znaczne powiększenie kosztów gospodarki publicznej czyli ogólnie mówiąc, wybitne podniesienie szkodliwego — i tak dziś istniejącego — napięcia między gospodarka publiczną a prywatną.

Projektowana normalizacja nacechowana jest „totalnym" sposobem myślenia. Normalizacja „normalna wywodzi się" genetycznie z terenu gospodarki maszynowej. Znormalizowanie, a więc zamienność części maszyn, umożliwia znaczne oszczędności w tej gospodarce. Normalizacja jest uzasadniona, gdy chodzi o istotne względy na ułatwienie obrotu handlowego. Normalizacja urządzeń jest wskazana, gdy chodzi o bezpieczeństwo publiczne, bezpieczeństwo życia i zdrowia ludzi itd. Nie jest jednak słuszne, gdy się pewne pojęcia przenosi z terenu lokomotyw na teren rękawiczek i chusteczek do nosa. „Totalność" myślenia często bywa błędem polityczno - gospodarczym.

Projektowana normalizacja ma charakter absolutny: wyłącza pozostawanie w obrocie handlowym wytworów nieznormalizowanych. Jest to błąd zasadniczy, gdyż poza stosunkowo nielicznemi koniecznościami społeczno - gospodarczej i państwowej natury — nie powinno się w trybie nakazu władzy państwowej rugować z życia wytworów nieznormalizowanych. Niechby sobie były w obiegu jedne i drugie, niech konsument rozstrzygnie co lepsze, to się ustali i zdobędzie przewagę nad drugiem. Dlaczego urzędowy „Besserwisser" ma to rozstrzygać?

Jest rzeczą nader charakterystyczną, że przy okazji omawianej normalizacji stwarza się okolicznościowy... monopolik: druk przepisów normalizacyjnych i ich rozpowszechnianie ma przysługiwać wyłącznie Polskiemu Komitetowi Normalizacyjnemu. Jest to nietylko sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, ale i z powszechnie uznaną zasadą, że przedruk ustaw i rozporządzeń nie podlega prawu autorskiemu.

Tak się przedstawia ten projekt „normalizacji" i „usprawnienia" naszego życia gospodarczego. Autorzy projektu wierzą niewątpliwie w to, że stojąc poza produkcją, patrząc na nią z wyżyny dobra publicznego okiem poczciwem, bardzo łatwo można wyłuskać w każdym przejawie życia gospodarczego, w każdej metodzie pracy przemysłu i handlu to, co stanowi optimum i temu optimum — kazać występować na terenie całej produkcji. Normalizacja jest w ich rozumieniu zarazem standaryzacja i racjonalizacja. „W krótkiej drodze" prowadzi do „sprawności", której nieosiągnięcie karze więzieniem. Wszystko to stwarza zarazem wizję gospodarstwa zglajchszaltowanego, rozsądnego, łatwego do kierowania. Przedsiębiorstwa w dziedzinie dotkniętej kryzysem uruchamia się na podstawie jednolitej, statystycznie wyliczonej normy uruchomienia. Buduje się mieszkania, nieprzekraczające naukowo ustalonego minimum metrów sześciennych. Ludzie noszą ubrania z przepisowych tkanin. Palą znormalizowane papierosy. Piszą wzorcowemi stalówkami. Jeżdżą jednego typu samochodami. Państwo dyryguje życiem obywatela, a już mniejsza o to, czy zakres interwencjonizmu pokrywa się ze wskazaniami zdrowego rozsądku.

Zakres interwencjonizmu może być zresztą jeszcze szerszy. Jezuickie państwo, zorganizowane w końcu XVI stulecia w Paragwaju hołdowało zasadzie interwencjonizmu krańcowego. Nawet stosunki małżonków były tam regulowane. W nocy, dzwonkiem, dawano im sygnały.

NOTATKI

NIEMOŻLIWA POLEMIKA

Czas jest osobliwym dziennikiem, który poświęca artykuły wstępne sprawom o małem znaczeniu i mało kogo interesującym. W Nr. z 26 kwietnia b. r. pierwsza kolumna Czasu rozpoczyna się słowami: „Losy reformy rolnej mało kogo interesują dziś w Polsce" — poczem to samobójcze pismo poświęca kilkaset wierszy rozważaniom tej nieinteresującej sprawy. Ponieważ należę do owych niewielu, którzy obok kilkunastu tysięcy ziemian i kilkunastu miljonów chłopów interesują się tem nieaktualnem zagadnieniem, ucieszyłem się, że któryś ze znanych mi dotychczas z najlepszej strony publicystów Czasu, dostarczy mi materjału do dalszego rozważania problemu, który w swej zatwardziałości ciągle jeszcze śmiem uważać za pierwszoplanowy. Chęć dyskutowania tej sprawy miałem tem większą, iż w artykule, stanowiącym w znacznej części polemiką ze mną, Czas wymienia dla przeciwstawienia moim poglądom akurat dwa nazwiska, dla których mam wyjątkowe uznanie. Ale niestety, polemika jest niemożliwa. Ażeby polemizować z Czasem, musiałbym sięgnąć do słownika, w którym nie obracam się swobodnie. Bo cóż np. odpowiedzieć na zdanie, że koncepcje wykorzystania oddłużenia dla reformy rolnej rodzą się z tych pobudek, „co i u twórców reformy rolnej w Polsce", przyczem jako ostateczne źródło Czas wskazuje „zasady demagogji społecznej", „naiwny pogląd, że przez mechaniczny podział ziemi doprowadzimy do uszczęśliwienia wszystkich", imputując przeciwnikom, że „na wszystko co jest do zrobienia na wsi", mają, względnie mieli, „tylko jeden środek, tj. parcelację". Na takie stawianie sprawy należałoby użyć wyrażeń typu „tępy egoizm klasowy", „poświęcanie wszelkich interesów wsi, byle tylko uchronić się od parcelacji", „naiwny pogląd, że bez parcelacji struktura wsi daje się uzdrowić", itd. Prawda — jak łatwo daja się odwracać tego rodzaju frazesy?

Otóż poza tem nie znalazłem w artykule Czasu nic. Znalazłem negatywny stosunek do moich wniosków, ale bez krytyki moich przesłanek, poza rzuceniem garści frazesów i poza nieścisłem twierdzeniem, że ustawodawstwo oddłużeniowe już załat-

wia sprawę likwidacji większej własności. (W szeregu artykułów na łamach Gospodarki wykazywane było, że w tym kierunku nasze ustawy działają bardzo słabo i wręcz niedostatecznie). Zamiast argumentów, Czas spróbował użyć autorytetu. Otóż z tymi autorytetami jest też niedobrze. Wątpię, czy znakomity znawca spraw agrarnych, prof. Staniewicz, zgodzi się z tą rolą, jaką imputuje mu Czas. Rolą ministra, który zahamował reformę rolną. W mojem przekonaniu i rola ta była odmienna i tytuł prof. Staniewicza do pamięci w rozwoju polskiej polityki agrarnej polega na czem innem. Przypadek zrządził, że i drugi strzał jest strzałem kulą w płot. Publicysta Czasu bardzo sobie upraszcza sprawę. Kto nie zna prac prof. Jaworskiego, niech o zagadnieniach agrarnych nie gada. Kto je zna, zjadł wszystkie rozumy. Bardzo mi to pochlebia, ale coś w tem „nie klapuje". Powtarzam, przypadek zrządził, że należę do wielbicieli wielkiego umysłu śp. prof. Jaworskiego, którego przed sześciu — siedmiu laty miałem niejednokrotnie okazję cytować w artykułach. Natomiast nie zdaje mi się, ażeby znajomość prac prof. Jaworskiego gwarantowała wszechwiedzę w sprawach agrarnych. Skromność nakazuje mi odmówić tej wszechwiedzy sobie, a sumienność publicystyczna, oparta o oczywisty dokument, jakim jest artykuł w Czasie — również i publicyście tego pisma.

Artykuł Czasu skłania mnie do rewokowania jednego tylko poglądu. Miałem nieostrożność dopatrywać się w stanowisku Czasu gry taktycznej, podczas kiedy p. Poniatowski zakwalifikował je jako „manowce konserwatyzmu". Cofam, co powiedziałem. Ale nie są to także manowce. Stanowisko Czasu w sprawach kartelowych i sprawach agrarnych, to ślepa uliczka, ciasna uliczka, w którą zabrnął polski konserwatyzm i zdolne skądinąd pióra, stojące na jego usługach.

c. b.

PRÓBA WYJAŁOWIENIA... NIEWYGODNEJ KSIĄŻKI

W numerze 4 „Gospodarki Narodowej" z r. b. p. Józef Poniatowski zamieścił p.t. „Próba wyjałowienia dyskusji" notatkę, w której m. in. przestrzega p. c. w. z „Przeglądu Gospodarczego", *by nie mierzył napięcia kartelizacji liczbą karteli — nazywając to metodą, dostatecznie skompromitowaną przez Dra Rogera Battaglię.*

Oczywiście jest to aluzja do krótkiej wzmianki, zawartej w mojej pracy p. t. „Zagadnienie kartelizacji w Polsce" str. 253, gdzie przeciwstawiłem liczbę karteli w Polsce, *niższą od setki*, 2100 kartelom istniejącym w Niemczech, przyczem wyraziłem pogląd, że to porównanie wskazuje, iż zakres produkcji o wiele obszerniejszy w Niemczech, niż w Polsce, został objęty kartelizacją.

Obstaję przytem nadal, że powyższe moje porównanie ma niejaką, acz skromną, wymowę. Nigdy jednak nie uważałem porównania *samej* liczby karteli za *główny miernik napięcia kartelizacji.*

Dowodem tego jest, że poważną część swojej pracy (por. str. 30 — 56 oraz str. 254 — 256) poświęciłem *obliczeniu wartości wewnętrznej sprzedaży prywatnej skartelizowanej i zmonopolizowanej* w r. 1930 (2241 mil. złotych), przeciwstawiając ten wynik wartości wewnętrznej sprzedaży dóbr monopolistycznych państwowych i półpaństwowych (1571 mil. zł.), wartości wewnętrznej sprzedaży dóbr przemysłowych nieskartelizowanych (6424 mil. zł.) itd. itd.

Z powyższych obliczeń wynika, że udział *wartości produkcji* skartelizowanej oraz monopolistycznej prywatnej w wartości całej produkcji przemysłowej (na rynek wewnętrzny) w roku 1930 wynosił 21.8 proc.

Jak z powyższego widać, istotnym miernkiem napięcia kartelizacji była dla mnie nie liczba karteli, ale stosunek wartości sprzedaży dóbr skartelizowanych i monopolowych do wartości sprzedaży dóbr wolnych (na rynku wewnętrznym) oraz stosunek wartości produkcji dóbr przemysłowych skartelizowanych i monopolowych do wartości produkcji dóbr przemysłowych wolnych (na rynek wewnętrzny). Te stosunki liczbowe bowiem wyrażają obciążenie całej produkcji, konsumcji i handlu „nadzyskami" kartelowemi i monopolowemi najlepiej — conajmniej znacznie lepiej (mojem zdaniem), niż zastosowana przez p. Michała Kaleckiego metoda porównywania przepracowanych robotniko - godzin.

Dr. Roger Battaglia.

DENATURAT

Brak niektórych dóbr gospodarczych powoduje używanie namiastek. Rzecz znana. Przyczyny braku mogą być różne. Naprzykład prohibicja w U. S. A. spowodowała brak, wprawdzie niezupełny, napojów alkoholowych. Skutkiem prohibicji było picie namiastek, względnie napojów mało przystosowanych do konsumcji, zawierających pierwiastki trujące. Nie trzeba jednak prohibicji by wywołać podobne objawy — wystarczy prohibicyjna cena. Donoszą nam z wileńszczyzny, że wiejskie sklepiki w niektórych wsiach sprzedają od 300 do 600 litrów denaturowanego spirytusu miesięcznie. Wódki chłop nie kupuje zupełnie a nawet samogonka stanowi luksus, dostępny tylko zamożnym gospodarzom. Sprzedaż denaturatu jest nieograniczona. Denaturat zawiera jak wiadomo alkohol drzewny, powodujący często ślepotę. Wypadki ślepoty są jednak bardzo rzadkie, co świadczyłoby albo o bardzo skromnych możliwościach chłopa nabywania w dużej ilości nawet denaturatu, albo o niewielkiej jego domieszce. Jednak wedle obserwacyj miejscowych negatywny wpływ picia denaturatu na zdrowotność ludności jest wybitnie ujemny. Szczególnie odbija się podobno na zdrowotności niemowląt, co byłoby w zgodzie z cyframi G. U. S. stwierdzającemi wzrost śmiertelności niemowląt na kresach.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że wieś nie używa maszynek spirytusowych, a zatem dopuszczanie nieograniczonej sprzedaży denaturatu na wsi jest chyba świadomem przeznaczeniem go przez P. M. S. dla konsumcji wewnętrznej w aptekarskiem tego słowa znaczeniu. Denaturat odgrywa zatem w polityce sprzedażnej P. M. S. taką samą rolę jak

zapałki kresowe w polityce Monopolu Zapałczanego. Ale zapałek nikt nie je.

Może informatorzy z prowincji przesadzają w ocenie ujemnych skutków picia denaturatu, wiedząc o jego zatruwaniu. Wyrażamy taką optymistyczną wątpliwość w związku z hipotezą, że P. M. S. dopuszczając nieograniczoną sprzedaż denaturatu zaniechał stosowania domieszek trujących, lecz milczy o tem skromnie, by nie zaczęli go pić dla oszczędności również i ci, których stać na wódkę. Nie chce się nawet wierzyć, by było inaczej, gdy się nad tem głęboko i z dobrą wolą pomyśli. Ale na to nie każdego stać i olbrzymia większość ludzi ma myśli zgoła niepochlebne patrząc na świadome tolerowanie picia wyrobu monopolowego uznawanego powszechnie za truciznę.

k. l.

PLAN NOWEGO USTROJU

Ulotka reklamowa, rozsyłana pocztą, wciska się do mieszkań i biur. Na 100 odbiorców 99, nie czytając, wrzuci ją do kosza, setny jednak przeczyta. Przeczytawszy, może się zastanowi, nad tem, co znalazł w ulotce, zwłaszcza, gdy ta jest umiejętnie ułożona i zmusza odbiorcę do zwrócenia na nią szczegółowej uwagi. Wówczas reklama działa, wywiera swój wpływ...

Przed kilkoma tygodniami ukazał się obszerny druk reklamowy, zapowiadający wydanie „rewelacyjnego dzieła ekonomicznego" p. t. „Plan nowego ustroju gospodarczego w Polsce". Tytuł conajmniej sensacyjny, dzieło liczyć więc może na powodzenie. Autor: Tadeusz Ostrowski, „wybitny znawca psychologji gospodarczej w Polsce". Wydawca: Komitet Wydawniczy „Dobrobyt" w Krakowie. Cena przystępna: 4 złote (jak na „dzieło rewelacyjne" — b. niska).

W prospekcie jeden z „licznych i starannych" wykresów, ułatwiających „każdemu pogląd na zawiły labirynt zagadnień gospodarczych", oraz spis rozdziałów i wyjątki z „dzieła". Tytuły rozdziałów i „myśli wybrane" są istotnie frapujące. Rozdziały: „Kobieta jako szkodnik ustroju gospodarczego", „Pieniądz jako czynnik do bytowania niepotrzebny", „Niepotrzebna katastrofa bezrobocia" lub „Łańcuch abstraktów i materji jako motor produkcji" każą spodziewać się najbardziej sensacyjnych i światoburczych rozwiązań. Albo takie oto „myśli wybrane", głęboko ujęte i niezwykle oryginalne: „O sztucznej deprecjacji cen ziemi i jej plonów świadczy fakt, że...", „Gdyby Mussolini we Włoszech miał Niemców, względnie ludzi podobnego ducha narodowego...", „Można produkować węgiel bez pieniędzy", „Ręczę Wam na podstawie układów przeprowadzonych z bracią górniczą i innymi pracownikami" etc. Wreszcie słoneczna, radosna zapowiedź: „Bank Pracy przysporzy gospodarstwu narodowemu dóbr materjalnych w sumie wartości 20 miljardów złotych w ciągu 8 lat" i „to pozwoli nam na gospodarkę planową"...

Dosyć, na miły Bóg, dosyć! — Przy takich perspektywach rezygnujemy z „nowego ustroju". Wolimy ustrój obecny z „kobietą jako szkodnikiem".

br.

MIĘDZYNARODOWY PODZIAŁ GŁUPSTWA

Istnieje przysłowie sztubackie, które stwierdza, że „trudno jest żyć nieprzyzwyczajonemu". Prawdopodobnie jedną z przyczyn silnej reakcji społeczeństw na kryzys jes właśnie „nieprzyzwyczajenie".

„Nieprzyzwyczajenie" do... poliyki gospodarczej prowadzonej obecnie przez regentów wszystkich krajów. Wygląda to trochę tak jakby P. T. Rządy postępowały w myśl maksymy „poco robić coś prosto kiedy można inaczej".

Piękna nauka geografji gospodarczej uczy nas o międzynarodowym podziale pracy. Wpatrzeni w mapę gleb, klimatów, warunków demograficznych poszczególnych krajów odkrywamy kierunki dróg morskich i lądowych, śledzimy odwieczne szlaki handlu. Aż tu nagle...

Ale weźmy dla jasności przykłady. I to przykłady z jednej dziedziny życia gospodarczego i z ostatniego okresu czasu:

Szwecja eksportuje pszenicę do Chin. Francja wywozi nadmiar swej produkcji tego zboża do Stanów Zjednoczonych Am. Płn., Anglji i Danji. Głównym odbiorcą żyta polskiego są kraje północnoamerykańskie. itd., itd...

Nie wiadomo czy należy przedewszystkiem podziwiać błogosławione skutki postępu techinicznego, który umożliwia handlowi międzynarodowemu to „chodzenie na głowie" w aż tak wielkich rozmiarach, czy dziwić się, że społeczeństwom nie znudziła się jeszcze ta dostatecznie piękna zabawa?

Jedno jest pocieszającem: ten międzynarodowy podział głupstwa stał się już dzisiaj przedmiotem rokowań handlowych między państwami. Może kiedyś przy układaniu zawiłych układów clearingowych, przy wymianie ciężarów i kosztów, wynikających z błądzenia w labiryncie bezsensu odkrytą zostanie nagle prosta i jasna droga.

Ale kiedy to będzie?...

b. ł.

TAKSOMETR I ZYSK GODZIWY

Jakie wymagania stawiać może Państwo i społeczeństwo przedsiębiorcom którzy inwestowali, swe (przeważnie zresztą skromne) kapitały w dziedzinie usług komunikacyjnych, a prościej mówiąc — właścicielom taksówek?

W dawnych czasach ograniczonoby się do trzech rzeczy. Po pierwsze do tego, ażeby płacili oni podatki, po drugie do tego, ażeby kierowanie autami powierzali osobom, dającym minimalne gwarancje fachowości, a co zatem idzie, bezpieczeństwa ruchu ulicznego, po trzecie — żeby liczniki „nie nawalały". Posiadacz taksówki z chwilą, kiedy ma kwit podatkowy, legitymację szoferską i sprawdzony licznik, nie powinienby w zasadzie zaprzątać uwagi władz. Ponieważ jednak żyjemy nie dawniej, lecz dziś, więc spełnić on musi parę inych warunków, a więc pomalować taksówkę na przepisowy kolor, a przedewszystkiem uzyskać koncesję. Czy koncesjonowanie tu jest konieczne czy nie — nie wiem, w każdym razie dotychczasowe wymagania niewątpliwie mieściły się w ramach tego, do czego jesteśmy dzisiaj przyzwyczajeni. Ale oto zjawia się novum.

Jeśli wierzyć prasie codziennej, — a nie wierzyć niema powodu, skoro nie było żadnego dementi — władze żądają od posiadacza taksówek jeszcze jednej rzeczy. Żądają, ażeby dobrze zarabiali. Według informacyj dzienników projektowano, czy projektuje się zredukowanie ilości taksówek mniej więcej do połowy, tak, ażeby poszczególnym „taksiarzom" zapewnić dostateczny zarobek, czyli — jak się mówi w memorjałach wszelkich karteli — godziwy zysk. System koncesjonowania, mający różne cele, ale w każdym razie nie cel regulowania in plus zyskowności przedsiębiorstw taksówkowych, miałby być wzięty za punkt wyjścia dla stworzenia przymusowego kartelu taksówek. Tak jest — przymusowego kartelu. Bowiem ograniczenie liczby przedsiębiorstw, jest przecież niczem innem, jak typowym kartelem. Już sama próba kartelowej reglamentacji, i to w oparciu o przymus, na terenie tego rodzaju przedsiębiorstw co taksówki, jest czemś osobliwem, zwłaszcza jeżeli nie pochodzi ze strony grupy przedsiębiorców — lecz ze strony władz. Ale najbardziej osobliwa jest motywacja. Motywacja niedostateczną dochodowością zbyt wielkiej liczby przedsiębiorstw, czyli t. zw. rujnującą konkurencją. Przy innych kartelach motywowano tworzenie ich względami z płaszczyzny „zbawiania ojczyzny" przyczem zupełnie specjalną popularnością cieszył się motyw podtrzymywania eksportu. Ponieważ w związku z warszawskiemi taksówkami trudno byłoby mówić o eksporcie, więc przy projekcie kartelu taksówkowego z całą jawnością wystąpił ten wzgląd, który przy wszystkich kartelach decyduje, ale o którym się nie mówi: zwiększenie zysków.

Zdarza się bardzo często słyszeć, że w Polsce niedostatecznie rozumiane jest „prawo do zarobku", że zarabianie jest funkcją niepopularną, podejrzewaną o niemoralność. Na tle sprawy taksówek okazuje się, że walczyć należy nietylko o prawo zarobku, ale i o prawo do tracenia, zarabiania mało, o prawo do podejmowania ryzyka przedsiębiorcy na własny rachunek.

a. u.

BILANS ZAMKNIĘCIA na dzień 31. 12. 1934 r.
Spółdzielni Wydawniczej „Gospodarka Narodowa"
w Warszawie, ul. Szpitalna Nr 4

Stan czynny:			Stan Bierny:		
Kasa — gotówką	zł.	114.89	Udziały	zł.	730.—
P. K. O.	„	282.57	Fundusz Zasobowy	„	933.21
Dłużnicy	„	1.082.62	Fundusz Wydawniczy	„	526.40
Ruchomości	„	507.80	Sumy Przechodnie	„	200.—
Sumy Przechodnie	„	415.83		zł.	2.389.61
			Czysty zysk	zł.	14.10
	zł.	2.403.71		zł.	2.403.71

STRATY I ZYSKI:

Straty:			Zyski:		
Koszty handl. i admin.	zł.	7.737.51	Zyski brutto na wydawn.	zł.	7.820.03
Prasa Gospodarcza	„	484.27	Różne zyski	„	546.05
Amortyzacja	„	90.20		zł.	8.366.08
Odpisy	„	40.—			
	zł.	8.351.98			
Czysty zysk	zł.	14.10			
	zł.	8.366.08			

Bilans powyższy zatwierdzony został przez Walne Zgromadzenie Członków Spółdzielni w dniu 9 kwietnia 1935 roku.

Za Radę Nadzorczą: *(—) Cz. Bobrowski.*
Zarząd: *(—) Z. Ciechomska.*

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk Piotra Laskauera, W-wa, Marjensztadt 8, tel. 222-39

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

JP

1867–1935

12 MAJA 1935 ROKU

Naród, zamieszkujący kraj, obdarzony skromnym zasobem bogactw naturalnych, naród posiadający po zaborcach dziedzictwo nie do pozazdroszczenia, ubogi w kapitały, bogaty—nadmiernie—w ręce robocze, nie znajdujące zatrudnienia, spóźniony w wyścigu uprzemysłowienia, ma mimo wszystko i mieć musi ambicje narodu wielkiego. Ma — siłą tradycji, siłą wartości kulturalnych, siłą charakteru narodowego. Mieć musi — wobec swego położenia geograficznego i z racji stosunków demograficznych. Naród, którego całkowity dochód społeczny jest niższy niż dochód kilku bogaczy Nowego Świata, rości sobie i rościć będzie pretensje nietylko do takiej pozycji międzynarodowej, która gwarantowałaby mu niepodległość, ale i do samodzielności gospodarczej. Aut Caesar, aut nihil — oto dramatyczny dylemat naszego bytu państwowego.

Stare, bogate i zorganizowane społeczeństwa mogą żyć dniem codziennym. Państwa, których niezawisła egzystencja nie została przerwana na lat 150, mogą się karmić nieprzerwaną tradycją państwową...

Jak przekreślić zasadniczą sprzeczność pomiędzy warunkami, w jakich znajduje się naród polski, a aspiracjami tego narodu? Pomostem pomiędzy wielką nędzą rzeczywistości polskiej a wielkiemi aspiracjami narodu, czynnikiem, wyzwalającym energję społeczną — a dziś przecież wiemy, że ta energja kształtować może nawet stosunki gospodarcze, nawet pozycję międzynarodową — mógł się stać w niepodległem Państwie Polskiem mit ideologiczny, mit społeczny. Zastąpiłby on „sen o szpadzie", którym żyliśmy tyle lat.

Mitu nie stało. Kiedy osiągnęliśmy to, czego pragnieniem żyliśmy cały wiek XIX, kiedy zdobyta została niepodległość, nie zdołaliśmy zapełnić powstającej próżni niczem nowem. Zaczęliśmy się rozmieniać na drobną monetę małych sporów i małych problemów.

Ale tę rolę, jaką gdzieindziej czy kiedyindziej odegrał mit ideologiczny, u nas, w dobie obecnej, odegrała sylwetka i legenda Józefa Piłsudskiego. Sylwetka Tego, który nosił oficjalny tytuł Pierwszego Marszałka Polski, ale dla wielu pozostanie na zawsze Komendantem, Towarzyszem Ziukiem, którego dzieci i żołnierze w Polsce nazywają Dziadkiem,

a któremu ulica nadała nazwę, brzmiącą jak wysoki, zaszczytny tytuł — nazwę Starszego Pana.

Na laurowem i ciemnem tle tysiącletniej historji Polski i na tle bliższem ostatniego czterdziestolecia, wśród takiego zgęszczenia zdarzeń politycznych, że raz poraz następuje wyładowanie elektryczne, że po roku 1905 przychodzi 1914 — 1918 — 1920 — 1926, oczom współczesnych i oczom następnych pokoleń ukazuje się najbardziej milczący mąż stanu dzisiejszej Europy, najbardziej milczący w szeregu wielkich ludzi historji Polski.

Józefowi Piłsudskiemu dane było przeżyć największą przygodę życiową, jaka spotkać może człowieka. Kiedy z ukrycia tajnej walki rewolucyjnej przechodził do działalności jawnej, poprzedzała go legenda. Spotężniała, rozpowszechniona — nawet ulegająca przemianom — trwa po dziś dzień i trwać będzie poza wzniesiony na Wawelu grób.

Wyposażyliśmy ją we wszystkie nasze pragnienia, we wszystkie nasze tęsknoty. Któż w Polsce nie poszukiwał aprobaty dla swoich dążeń w nieodgadnionych, wewnętrznych przekonaniach Marszałka? Któż nie starał się odnaleść w Jego działaniach usprawiedliwienia dla swego własnego programu? Czy rzeczywista postać, czy rzeczywisty — chociaż największy — człowiek, możeześrodkować w sobie wolę całego społeczeństwa? Operując prymitywną logiką, należałoby powiedzieć — nie. Są bowiem w dążeniach społeczeństwa sprzeczności nie do pogodzenia. Ale historycznie to właśnie jest prawdą.

Wyposażyliśmy postać Marszałka w nasze pragnienia. Z tych pragnień budowaliśmy Legendę. Nie daliśmy jej jednak tych czynników, których społeczeństwu polskiemu naogół brak. Nie daliśmy tej ustawicznej twórczości, która rodziła codzienne decyzje, decyzje nieoczekiwane, poczęte nieraz na płaszczyźnie, nie przecinającej się z drogami myślowemi ogółu, decyzje, których motywacja ukazywała się nam nieraz wtedy, kiedy słowo stało się już ciałem. Nie daliśmy poczucia hierarchji celów, umożliwiającego Wodzowi współczesnej Polski łagodzenie tych sprzeczności, które masom mogły się wydać nie do pogodzenia. Nie daliśmy poczucia odpowiedzialności, które Wielkiemu Człowiekowi nakazywało brać na siebie coraz rosnące brzemię. A przedewszystkiem nie daliśmy tego czynnika, którego brak nie-

tylko nam, którego mało było w dziejach Rzeczypospolitej. Ten czynnik do swej Legendy, do swej sylwetki Józef Piłsudski wniósł sam. Czynnik upartej, żelaznej, litewskiej woli.

I oto, kiedy zabrakło Tego, który przez tyle lat samotny walczył z losem o przyszłość kawałka ziemi, zamieszkałego przez naród polski, siły nasze starczyć muszą nietylko na to, ażeby pogodzić się z jedynem zwycięstwem losu nad Józefem Piłsudskim — z Jego śmiercią — ale i na to, ażeby podnieść brzemię, które spadło z bark powalonego, lecz tylko przez śmierć powalonego, olbrzyma. Osobowość Marszałka oddziaływała na kształtowanie się rzeczywistości polskiej także wtedy, kiedy poza mury Belwederu nie wychodziły słowa, słowa - decyzje. Ten wpływ pozostaje. Ale decyzji zabraknie. Decyzje musimy podejmować sami. My sami, całe społeczeństwo, podejmujemy walkę o wydźwignięcie rzeczywistości politycznej i gospodarczej Polski na nowy szczebel w rozwoju historycznym, w którym jakże jesteśmy zapóźnieni. Sami podejmujemy walkę o przebudowę społeczeństwa niemniej zapóźnionego w rozwoju. Sami przedewszystkiem musimy zbudować nowy mit społeczno - ideologiczny, stworzyć punkt wyjścia dla twórczej przebudowy życia polskiego.

Wspominając osobę Tego, który odszedł, i rachując w sumieniu obowiązki, które dla nas powstają, ujrzeliśmy taką sylwetkę Józefa Piłsudskiego, jaka pozostanie zawsze na kartach historji. Ale jest jeszcze jedna postać, a raczej nie jedna, lecz miljony postaci. Jest to ta postać, która każdemu w Polsce pozostała ze wspomnień osobistych. Jednemu dane było patrzeć na Wodza Narodu oczami towarzysza partyjnego, innemu oczami legjonowego żołnierza - obywatela, innemu tylko oczami ochotnika - rekruta roku 1920. Są tacy, których wspomnienia obejmują jedynie pochyloną sylwetkę w szarym mundurze na tle Ujazdowskich Alej, oświetlonych porannem słońcem. W tych wszystkich wspomnieniach jest jeden wspólny element, jedna wspólna nić: irracjonalny wstrząs. Dlatego wracać będzie w naszych wspomnieniach Starszy Pan w siwym mundurze.

Starszy Pan, którego już nigdy nie ujrzymy.

Zeszyt opracowany przez Komitet Redakcyjny pisma przy współudziale wszystkich członków Klubu „Gospodarki Narodowej", wydrukowany w układzie graficznym Lucjana Kintopfa, u Piotra Laskauera. Nakład dodatkowy dla miesięcznika Technika Cieplna.